Nr. 47. Warszawa, dnia 24 (13) Listopada 1893 r. Rok XIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

PRZECIW ANARCHISTOM.

Jednocześnie w kilku punktach Europy i Ameryki wybuchły bomby, rzucone przez anarchistów, zrządziwszy większe lub mniejsze zniszczenie. Wszystkie te wypadki, pomimo różnic w wykonaniu zamachu, miały tę między sobą wspólność, że zdradzały raczej obłęd, niż świadomy celu spisek lub zemstę. Istotnie, jeżeli ktoś ciska bombę między publiczność teatralną lub podkłada ją pod pomnik... Nelsona, to nie pytając sprawcy o pobudki, możemy z góry przewidzieć, że jest to waryat. Bo cóż on zamierza i może osiągnąć? Zabije kilku lub kilkunastu ludzi, najczęściej niebędących przedmiotem jego nienawiści, lub zburzy jakąś budowlę, nieodgrywającą w życiu obecnem żadnej roli. Bez względu na to, czy od swego czynu spodziewa się doniosłych skutków, czy nie spodziewa się żadnych, jest obłąkanym, bo człowiek zdrowy na umyśle nie przypuszcza, że kilka pocisków przekształci świat, ani też nie zabija ludzi bezcelowo. W jednym z artykułów roku zeszłego zwróciliśmy uwagę na to, że w nowoczesnym anarchizmie przyjmują dość znaczny udział żywioły umysłowo chore. Społeczeństwa jednak nie uświadomiły sobie jeszcze dostatecznie tego niewątpliwego faktu. Wierzą one, że waryaci mogę pisać poezye, robić odkrycia naukowe, obmyślać systematy filozoficzne, zakładać sekty religijne, ale zdaje im się, że każdy, kto rzuca bomby, musi być strasznym rewolucyonistą, działającym według pewnego planu i dążącym do pewnych, z przyszłością związanych celów. Tymczasem zwykle bywa inaczej. Rozmaici sprawcy zamachów dynamitowych, schwytani w ostatnich latach, okazywali się ludźmi zwyrodniałymi, z głębokiem zaburzeniem psychicznem, z rozstrojem nerwowym, ludźmi, którzy nie umieli wytłomaczyć się ze swych czynów i którzy stawiali w kłopocie sąd, wahający się, czy ich osadzić w szpitalu, czy w więzieniu. Byłoby nawet zjawiskiem bardzo dziwnem, ażeby obłęd, który uczestniczy we wszystkich sprawach działalności ludzkiej, miał zupełnie cofnąć się od politycznej i ażeby jego chora imaginacya nie zapaliła się do środków zniszczenia. Byłoby to dziwnem zawsze, a tem bardziej w naszym zdenerwowanym, zhisteryzowanym, patologicznym wieku. Zważmy tylko, ile ten wiek zrodził cudactw w literaturze, sztuce, obyczajach, kultach, jak on codzień objawia swoje niezdrowie! W takiej epoce szaleńcy, usiłujący zreformować świat zapomocą bomb rzucanych w teatrze, są zjawiskiem naturalnem.

Rozumie się państwa, najbardziej zagrożone przez takich reformatorów, nawet uznając ich niepoczytalność, muszą zabezpieczać się przeciw ich występnym czynom. To też z powodu wspomnianych wypadków na zachodzie Europy, zwłaszcza we Francyi i Hiszpanii, urządzono łowy na anarchistów, których już pono ujęto sporą gromadę. Ktokolwiek nie życzy sobie, ażeby siedząc w teatrze lub idąc ulicą, został zabity przez wybuchającą bombę furyata, uzna wszelkie środki państwowe, zapobiegające takim zbrodniom, za usprawiedliwione. Żadne społeczeństwo i nikt w niem nie chce zawiesić swego życia na kaprysie szaleńców.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Koza, wilk i kapusta, czyli nowy gabinet austryacki usiłuje zachować minę „solidarnego“ i wmówić w świat, że ani wilk nie chce zjeść kozy, ani koza kapusty. Ministrowie złożyli oświadczenie w klubach swoich stronnictw, co im przyszło łatwo, ale przy pierwszej ważniejszej sprawie w parlamencie owa solidarność popruje się jak tandetne szycie. Sprowadzić to może sama natura sztucznie zlepionych żywiołów, ale też nie trzeba zapominać, że hr. Taaffe, wysadzony z siodła, nie będzie leżał i stękał, lecz postara się, ażeby ten sam rumak pozrzucał jego następców i ażeby oni sami podali mu strzemiona.

Jak przepowiadaliśmy, wycieczka hr. Kalnokego do Włoch dostarczyła prasie tematu do rozpraw i powodu do najrozmaitszych domysłów. Byli między odgadywaczami celu tej podróży ludzie obdarzeni tak bujną fantazyą, że odkryli zamiar ustąpienia Tyrolu austryackiego Włochom.

Cesarz, jak to zwykł zawsze czynić, z wielką pompą otworzył obrady parlamentu niemieckiego. Tej pompie jednak nie odpowiadała mowa tronowa, sucha w formie, smutna w treści, bo stawiająca konieczność uchwalenia nowych podatków na pokrycie kosztów pomnożenia armii. Ile ofiar na tym ołtarzu złoży wino, a ile tytoń — mniejsza, dość że ten lub ów produkt „musi mocno krwawić“ — jak mawiał Bismark, sięgając do kieszeni narodu dla nakarmienia militaryzmu. Chodzi pogłoska, że rząd gotów jest zadość uczynić żądaniu centrum i zdjąć klątwę wygnańczą z jezuitów za pomoc w przyznaniu mu funduszów na potrzeby wojskowe. Nam się zdaje, że groźby uporu w tej sprawie ze strony przyjaznych rządowi grup parlamentarnych są to poprostu „strachy na Lachy“, gdyż sejm, który zgodził się na powiększenie armii a potem odmówił na ten cel pieniędzy, wystawiłby sobie świadectwo niedojrzałości umysłowej. Nadto w obecnym, znacznie zmienionym układzie stosunków międzynarodowych niemcy uważają taką ofiarę za swój obowiązek.

Odebrawszy przysięgę od rekrutów, cesarz miał do nich jedną z tych przemów, na które potem prasa liberalna i wogóle dbała o konstytucyę bardzo długo szemrze. Rzekł on: „Pamiętajcie, że ja chcę mieć żołnierzy chrześcian i że nie powinniście znać innego prawa, tylko moje prawo.“ W Niemczech panujący nie jest prawodawcą, lecz najwyższym wykonawcą ustaw.

Prezesem świeżo otwartej francuskiej Izby deputowanych wybrany został Kazi-

mierz Perier. Oświadczenie gabinetu tym razem było dość mocno zaakcentowane konserwatyzmem i wyparciem się godeł radykalnych, na co niewątpliwie wpłynęły ostatnie zamachy anarchistów. Socyaliści francuzcy bardziej niż przedtem połączyli się w jedną grupę, ale z pierwszych ich wystąpień (z wnioskami amnestyi) i odpowiedzi rządu widać, że im rzucono rękawicę do walki energicznej.

Włochy mają szczególną zmowę — telegrafistów. Nie jest ona w skutkach tak fatalna, jak bezrobocie górników węglowych w Anglii (obecnie już zażegnane), daje się jednak uczuć dotkliwie.

Nie dla dyplomacyi może, ale dla świata politykującego niespodzianką był układ, zawarty przez Anglię z emirem Afganistanu o „nowe sprostowanie granic,“ mające raz na zawsze położyć kres zatargom. Oddawna wiemy, co znaczy takie „sprostowanie“ i co warto takie zapewnienie. Tymczasem anglicy trzymają wierzch w swych wpływach na Afganistan.

Śmierć zabrała w ostatnim tygodniu kilka osobistości wybitnych: w Petersburgu zmarł ambasador angielski Morier, w Gracu hr. Hartenau, inaczej Aleksander Battenberg, b. książę bułgarski,

---

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA FRANCUSKA.

Franciszek de Curel: *Les fossiles* (Kopalni) Paryż 1893.

Umierają... Są jak sosny, gdy im wicher wyrwie z pod stóp warstwę piasku, w którą zapuściły korzenie. Przedtem rosły spokojnie, w górę; zielone igły na gałązkach szeptały mile, muskane wiatrem. Teraz pnie pochyliły się, gałęzie krzywe, a szyszki padają na skałę. Skoro nawet ta lub owa rozwinie się, wyrasta z opoki leniwie, karłowato.

Wicher dziejowy wyrwał ziemię z pod stóp arystokracyi rodowej, złamał gałęzie, pień skrzywił. Od lat stu już klasa niegdyś wszechmocna kona. I w chwili, kiedy zegar dziejowy wydzwania jej ostatnią godzinę, ów zanik ma w sobie coś tragicznego.

Schodzi do przeszłości wielki drapieżnik. Ale zuchwały, silny, wypełniał on rykiem lasy, płoszył zwierzynę i trzody. Myśliwy zaś, którego pokonał, długo go tropił i zmierzał, zanim ugodził śmiertelnie.

Jeden moment agonii arystokratów pochwycił Franciszek Curel w utworze „Les fossiles.“ Jest to dramat napisany z siłą. Autor rokujący piękne nadzieje wśród młodych pisarzów francuskich, pochodzi sam z rodu szlacheckiego, wychowany w górach Ardeńskich. Tu w zamkach osłonionych jodłami więcej pozostało „wymierających,“ niż gdziekolwiek we Francyi. Mógł więc dramaturg snadniej podpatrzeć strony ich życia, zgłębić dusze.

W wysokiej sali zamkowej, oświetlonej tylko jedną lampą, podeszła do okna księżniczka Chantemelle, odsunęła kotarę.

Na dziedzińcu dorożka.

— Kto przyjechał?

— Doktór z miasta — odparł sługa. Razem z nim profesor z Paryża, bo ma jutro mowę w akademii, więc przyspieszył przyjazd.

Brat Klary, Robert, rok temu zapadł na piersi. Zdrów był i silny, z ojcem wychodził na łowy, sam jeden zasiadał się na dzika. Gdy jechał konno, oglądał się za nim lud. Zachorował, nie wiadomo wskutek czego, teraz zżółkł, policzki wyschły. Kaszle nocami, a odkąd chory, smutek żelazną obręczą opasał wszystkie czoła w zamku.

— Nie ma już dla niego nadziei — donosi matka. Z łkaniem rzuca się w objęcia córki, lekarze ślą Roberta do Nicy. Do Nicy, przynajmniej o kilka nitek to pasmo życia przedłużyć.

Rozlegają się na korytarzu kroki, snać Robert. Matka ociera łzy, stroi twarz w uśmiech. Robert. Chce mówić z matką, szuka jej. I gdy siostra odeszła, zwierza się z prośbą.

— Muszę przed śmiercią zobaczyć Helenę Vatrin. Usunęliście ją na żądanie Klary, która czuła do niej nienawiść. Ale nie wiedziała, że brat kocha jej ubogą towarzyszkę, że tej jedynie zawdzięcza kilka chwil szczęścia w życiu. Oporu nie stawiałem, wiedząc, że zgodziwszy się nawet na połączenie nas małżeństwem, nie będziecie uważać żony za równą sobie. Ciągłą zaś zniewagą istocie ukochanej nie wolno zatruwać życia. Więc rozeszliśmy się. Dziś w przeddzień zgonu tęsknię do niej, a skoro jej nie sprowadzicie, sam do niej pojadę. Nie mając żadnego mienia, pukam do waszych uczuć. Helena powiła syna. Kochacie mię, zechciejcie przenieść miłość swoją na to dziecko. Zaopiekujcie się niem i nią.

Tegoż wieczora matka oznajmiła księciu życzenie syna i sprawa posunęła się dalej. Chantemelle, typ feodała w stracie Roberta widzący głównie wymarcie historycznego rodu, na wiadomość o dziecięciu Heleny postanawia oboje połączyć ślubem. Ród nie wygaśnie. A gdy syn waha się, zapewnia go słowem: „Twoja żona będzie równa wszystkim.“

Śnieg rzucił biały płaszcz na ziemię, w parku tylko tu i owdzie cisy otrząsły z gałęzi biel. Daleko czernią się lasy. Robert siedzi w oknie wyglądając lubej. Czy rychło tam na drodze ukażą się głowy końskie, czy prędko dzwonki zadźwięczą?

Tylko Klara przy nim pochmurna, dręczona niepokojem. Od dwóch dni już taka. Oto teraz rozpoczęła z bratem rozmowę przechodzącą prawie w spór.

Rzecz idzie o pytanie dość oderwane: pogardę dla życia społecznego. Ciężkie warunki — według Klary — ma obecnie arystokrata. Wszędzie dorobkiewicze, nigdzie atmosfery dawnej, rycerskiej. Wybory do rady: książę przepadnie przeciw weterynarzowi, salon — tam zasiądziesz na pierwszem miejscu wśród — zbogaconego tłumu. Ambasada — republiki. Wojna, ta może dać szczęście, lecz kiedy jej niema, bądź wiecznym porucznikiem lub prowadź do więzienia książąt, za których twoi dziadkowie ginęli.

— Nie warto żyć. Olśniewała mię zawsze w tobie wzgarda dla życia, obojętność dla śmierci. Czemuż teraz cofasz się, chwytasz się niby bluszcz muru. Dlaczego żenisz się?

— Zmieniłem ostatnimi czasy zdanie — odpowiada brat. Długo cierpiałem nad losem oczekującym nasze rody, a w niemożebności robienia myślałem. Nauka rzuciła światło w myśli. Czy wiesz jaka jej największa zdobycz? Dziedziczność. Ta mię uspokoiła. Wymrzemy, ale nasz zgon nie może być smutny, jak wieczór jesienny. Wieki wykształciły w nas subtelność myśli i uczuć, posiadamy niezmierną wyższość nad innymi. Nie mogąc promienieć sławą wojenną, wiedzą i szlachetnością błyszczmy. W tym duchu powinniśmy działać sami, w tym wychowywać dzieci, rozu-

---

3)

MINĘŁO...

STUDYUM.

Tysiąc razy jednak wracała myślą do Maryana. Snując w dalszym ciągu przerwaną z nim rozmowę, żałowała, że nie odpowiedziała mu surowiej, ostrzej.

Byłaby oddała połowę życia za pewność, iż nie zobaczy go już nigdy: drażnił ją, niecierpliwił, a jednak — mimowoli szukała go wzrokiem.

— Czy wolno usiąść przy pani? — spytał Maryan, stając przed nią nagle, jak gdyby wyrósł z ziemi.

Miała ochotę wstać z miejsca, odsunąć krzesło z hałasem i odejść szybko albo też powiedzieć szorstko:

— Pragnę być sama.

Nie wstała z miejsca, nie odpowiedziała ani słowa. Lekkiem skinieniem głowy dała znak, iż przystaje na jego towarzystwo.

Dziwnie była skrępowana wobec tego człowieka: pozbawiał ją woli, stawiał ją w sprzeczności z samą sobą.

Koncert trwał w całej pełni. Po śpiewie solowym i po legendzie skrzypcowej Wieniawskiego nastąpiła ballada na fortepian.

Ciche, fantastyczne, jak gdyby przy bladym ogniu kominka prowadzone opowiadanie pomknęło kaskadą tonów, przechodzących z łagodnego piana w grozę wzmagającego się crescenda.

— Życie raczej jątrzy, aniżeli goi rany, z któremi na świat przychodzimy — rzekł Maryan, siadając obok Wandy. Czy nie powinniśmy wybaczać sobie wzajemnie przykrości, jakie mimowoli jedni drugim wyrządzamy? Wiem, że obraziłem panią przed chwilą, wiem, że nie zasługuję na prędkie zapomnienie winy: proszę jednak już jeżeli nie o całkowite rozgrzeszenie, to przynajmniej o złagodzenie kary. Czy skruszony winowajca może liczyć na pobłażliwość sędziego?

Głos jego brzmiał akcentem prośby, którą powtarzały usta i oczy; rysy twarzy przybrały ton miękki, łagodny...

— Bądźmy przyjaciołmi — rzekła Wanda, wyciągając doń rękę i w tej chwili zdziwiła się sama słowami swemi: tak nagle, niespodziewanie, za obcym zupełnie i zgoła jej nieznanym impulsem woli zostały wymówione.

Sucha, muskularna dłoń Maryana uścisnęła mocno drobną i miękką jej rękę.

— Ja biorę znaczenie słów literalnie nie znam się na frazesach rzucanych dla zabawki. Czy usta pani nie zadadzą kłamu jutro temu, co powiedziały dzisiaj?

— Możemy być przyjaciołmi, o ile wzajemna wiara i ufność podtrzyma sympatyę naszą; w przeciwnym razie trwałości uczuć, przynajmniej ze swojej, strony nie gwarantuję.

I znowu ten dziwny, obcy impuls woli podszepnął jej słowa odpowiedzi.

Rozmowa z Maryanem potoczyła się na temat dziwacznego, jak u kobiety, jego usposobienia.

— Nie rozumiem pana zupełnie — odezwała się Wanda z za wachlarza, którym zasłoniła oczy przed jaskrawym blaskiem żyrandola.

Maryan uśmiechnął się zlekka: był tego wieczora łagodny, nastrojony na ton szczerych wyznań.

— Wiem, że mogłem wydać się pani niejednokrotnie dzikim, nieokrzesanym zulusem, śledzącym ją natrętnie, snującym się, jak cień, za nią — rzekł półgłosem, przechylony ku niej.

— Dotąd nic i nigdy nie zajęło mnie żywiej; prześlizguję się między ludźmi, jak obcy zupełnie, nie rozumiejąc szablonu zmanierowanych ich uczuć. Wychowanie i tak zwane „stosunki“ chciały zrobić z pani taką samą lalkę salonową, jak kilka-

miesz więc, że z życiem potrzeba się wiązać.

Nie zadawala to Klary, czystość rasy wciąż bywa mąconą. Ale w istocie mniej jej zależy na bycie, mniej na małżeństwie, niż na małżeństwie z Heleną. Jest w posiadaniu smutnej tajemnicy, i ta ją toczy, jak kornik dąb.

Było to przed kilku laty. W Paryżu skończyła pensyonat sierota po koleżance księżnej Chantemelle, Helena Vatrin. Księżna, jej opiekunka, sprowadziła ją do zamku męża dla towarzystwa córce. Lecz dziewczyna była biedną. A czyż biedna nie jest na łasce i niełasce „dobroczyńcy“? Czy nie jest jego niewolnicą, choć nie kupiona na wschodzie, ani przywieziona ze skwarów równika?

Książę owładnął Heleną, mimo moralnej odrazy nie miała sił go odepchnąć. Stosunek trwał przez czas długi. Pewnego dnia Klara podpatrzyła go, znienawidziła odtąd towarzyszkę i przeparła jej usunięcie.

Gdyby była kobietą z sercem i umysłem, odgadłaby była może dzieje wypadku. Niestety, w ciasnych wychowano ją pojęciach. Widziała przed sobą kochankę ojca, tę ścigała.

W rok po przybyciu Heleny, Robert wrócił z Palestyny. Oboje pokrewni myślami i pojęciami pokochali się. Lecz książę wywierał wciąż wpływ na dziewczynę, nie ważyła się zerwać. Dopiero po wyjeździe obrożę zrzuciła. Gdy Chantemelle przysłał po jej syna sługę Mikołaja, a jej zaproponował mieszkanie w borze pod zamkiem, dziecko oddała, aby mu byt zabezpieczyć, lecz sama nie wróciła.

W oczach Klary pozostanie ladacznicą. Więc po zawziętej tylko walce księżniczka ustępuje. Ojciec zapewnia, że Robert nie poślubiłby Heleny, nie mając syna, przyjmuje z pogardą jego oblubienicę, zwycięża.

Właściwie największą ofiarę poniosła Helena. Przyjmuje życie smutne aż do grobu, wie, że czeka ją wkrótce wdowieństwo. Ale chce cierpieniem i oddaniem się zmyć winę, chociaż nie na niej głównie ciążącą.

Wyjechali do Nicy, pod błękit Prowancyi. Najęli willę wychodzącą na morze, w ogrodzie pod oknami kwitły róże. Robert otulony atmosferą ciepła i miłości zaczął przychodzić do siebie. Ustały krwawe kaszle, bladość jęła ustępować. W izbie przytykającej do komnaty żony, piastunka kołysała dziecię: małego Henryka. Wieczorami on i ona siadywali przed domem i patrzyli na fale morskie wciąż burzące się, wciąż oddychające pełną piersią.

Książę z małżonką i córką przyjechali wraz z nimi. Klara względem Heleny zachowywała chłodną obojętność, lecz Robert tego nie spostrzegał, nie byłby zresztą odgadł przyczyny.

— Synu — rzekła raz do niego księżna — chcę pomówić z tobą w sprawie przykrej. Poruszyłam ją już z Heleną. Piastunka prowadzi się niemożliwie, należałoby ją odprawić. Obsypuje łaskami zarazem stajennego i lokaja...

— Dobrze, załatwię się z nią — odrzekł Robert. I wyszedł sługę skarcić.

Wrócić nie mógł. Piastunką była żona Mikołaja, wysłańca książęcego do Heleny. W złości rzuciła młodemu księciu w oczy tajemnicę. Padł jak podcięty i żyć nie chciał.

Rodzice pozostali w Nicy, on z żoną i siostrą wrócił do zamku w Ardenach. Nie powiedział żonie jednego przykrego słowa, ale czemuż i on nie umiał wejrzeć w życie głębiej?

Miłość wiązała go z bytem, zdawało mu się, że go zawiodła. Więc czekał godziny śmierci i spokój niedługo przybył.

Dziś zabiją go w trumnę, przy jego ciele modli się ojciec, księżna klęczy i płacze. Kilka zakonnic, lud, sąsiedzi wyrażający współczucie. Sala wreszcie opróżnia się, pozostaje tylko rodzina, Klara wnosi testament.

„W imię Ojca i Syna i Ducha. Ja Robert Chantemelle w przeddzień stawienia się przed Bogiem, proszę wszystkich o przebaczenie i sam przebaczam. Niech mój ojciec o tem pamięta; zdeptał nogami najświętsze me uczucia, ale ja stłumiłem głos wołający o pomstę. Dziękuję Bogu, że schodzę ze świata.

„Po mej śmierci proszę o urządzenie się następujące. Rodzina rozejdzie się, żyć razem nie może. Helenie oddajcie zamek Ecluses w Normandyi, tam przyrzekła wychować syna. Przysięgła i wierzę, że słowa dotrzyma.

„Gdy Henryczek dorośnie lat piętnastu, matka wyjedzie z nim do Paryża. Da mu tu wykształcenie godne jego. Niech syn mój stanie się człowiekiem spółczesnym w pełnem znaczeniu słowa, niech zawsze pamięta, że imię go nie zwalnia od obowiązku posiadania wartości osobistej. Za hasło życia weźmie zaparcie się i szlachetność. Rewolucya ścinała naszych przodków, nie powinniśmy jednak dlatego stawiać oporu ulepszeniom społecznym. Naprzód i naprzód na czele tych, którzy walczą o kącik na słońcu, choćby nawet będąc pewnymi ich tajonej niechęci. Przeżyliśmy się, lecz niech ostatni nasi przedstawiciele zostawią po sobie wrażenie piękne i wielkie, niechaj będą jak olbrzymie kopalne zwierzę, budzące obrazy wieków dawnych.

„A gdy Henryk dojrzeje, Klara opowie mu o ofierze, w której padli dla niego ojciec i matka, więcej niż oni. Spełni co go proszę, bo dla jednego kwiatka cała łąka skoszona.“

Helena i Klara żegnają się z rodzicami, Klara będzie pomagać bratowej. Wybucha łkanie i rodzina rozchodzi się w dwie strony świata.

Silne sceny utworu wstrząsają do głębi. Można mu wytknąć pewną nieskładność pierwszego aktu, zbytnią przewagę roli Mikołaja i żony nad osnową. Ale są to usterki, które gubią się w całości.

„Kopalni“ zawierają przedewszystkiem potężne odtworzenie typów schodzących do grobu, już teraz prawie historycznych. Książę Chantemelle, feodał średniowieczny w całej pełni, bandyta tropiący odyńca i żyjący poczuciem przewagi fizycznej. Pan domu i rodziny. „Rozstrzelać by cię za to“ — wita syna na wiadomość o jego stosunku do Heleny. Żona — cień wobec niego, odnośnie do dzieci również wyposażona władzą. Ich mleczem wykarmiona księżniczka Klara, jej myśli — ród książęcy, jej moralność — moralność klejnotu.

Robert — wytwór starcia się dwóch epok. Natura szlachetna, lecz życie zmroziło go zbyt prędko. Mógł rozkwitnąć, pójść naprzód. Zginął wcześnie.

I niby biały kwiat, rzucony na tło czerwonego aksamitu Helena. Kobieta „z ludu“, lecz tylko Robert częściowo jej dorównywa pięknem duszy. Cierpi, za czyje winy? Wszystkie jej słowa przejęte serdecznem ciepłem, a jej dusza jest wśród otoczenia, jak strumień wody słodkiej, płynący morzem.

W. Bugiel.

---

naście tych, które w tej chwili mamy przed sobą, to „coś“ jednak, co stanowi lepszą cząstkę twej istoty, uchroniło cię od tego. Oczy pani zadają nieraz kłam ustom, które mówią komunały. Ta rozterka uczuć i myśli z narzuconym im z góry szablonem właśnie zajęła mię w pani... Badam cię, śledzę i to sprawia mi rozkosz najwyższą: wszak nie odmówisz mi jej pani i nadal?

— Nie mam prawa: badamy i śledzimy się wzajemnie wszyscy — odpowiedziała Wanda z lekkiem skinieniem jasno blond główki, na którą z góry padały snopy jaskrawego światła.

Ballada rozsypała się w pasażach i arpedżjach o przyspieszonem tempie i wzmocnionym rytmie. Kilka szerokich, silnie zaakcentowanych majorowych akordów zwiastowało koniec. Goście otoczyli artystę, który grał w natchnieniu. Dziękowano mu. Zachwycano się siłą i pięknością jego uderzenia, wyrazistem, jasnem frazowaniem, zwrotami, uwydatniającymi samodzielnie myśl kompozytora.

— Kuzynka tutaj? — spytał Romek Pruszyński, brat cioteczny Wandy, spostrzegłszy ją we wgłębieniu salonu, opartą o słup marmurowy i w milczeniu wyczekującą dalszego ciągu słów towarzysza swego.

Maryan wstał. Nadejście Pruszyńskiego rozdrażniło go i wzburzyło widocznie. Przygryzł wargi i ze zniecierpliwieniem szarpał końce wąsów.

— Za pół godziny kolacya — rzekł Pruszyński, stając za krzesłem kuzynki. Czy pozwolisz mi być rycerzem swoim?

— Dobrze — odpowiedziała wolno, z roztargnieniem, nie chcący czy umyślnie upuszczając na ziemię wachlarz, po który schylił się uprzejmy kuzyn.

Dziwnego rozdwojenia uczuć doznała w tej chwili: żałując przerwanej rozmowy, jak żałuje się czegoś, co już nie wróci, jednocześnie była wdzięczną Pruszyńskiemu za przerwanie jej męczącego „sam na sam“ z Maryanem.

Koncert trwał w dalszym ciągu. Roman, stanąwszy za krzesłem Wandy, wskazywał jej różne komiczne osobistości otoczenia: to starą mecenasową, która w takt muzyki poruszała głową na wszystkie strony, aby nadać większy blask brylantowej grecie, wpiętej we włosy; to sześćdziesięcioletnią dekoltowaną i upudrowaną rejentową, uśmiechającą się filuternie do młodego barytona — śpiewającego w tej chwili, to lwa salonów, Adamskiego, który, wodząc tryumfalnym wzrokiem po szeregu otaczających go kobiet, zdawał się mówić:

— Każdą z was zdobędę, jeżeli tylko zechcę...

Wanda słuchała go z roztargnieniem. Straciła zwykły swój humor. Chęć zabawy, z jaką przed trzema godzinami wyjeżdżała z domu, opuściła ją zupełnie. Coś działo się z nią dziwnego: doznawała wrażenia chorej, która nie jest w stanie określić dokładnie rodzaju i stopnia cierpień swoich. Żal jej było Maryana, a jednocześnie czuła pewną ulgę, nie będąc zmuszoną rozmawiać z nim przez cały długi wieczór.

Wypełniono program koncertu. Gospodarz domu dał znak orkiestrze, aby zagrała poloneza, w takt którego towarzystwo miało przejść do oświetlonych rzęsiście jadalni.

Pary stanęły jedna za drugą szeregiem. Maryan nie podał ręki nikomu.

— Dlaczego samotny? — spytała, mijając go Wanda.

Wzruszył ramionami ironicznie, jak gdyby chciał odrzec:

— Nie znam się na niedorzecznych, głupich ceremoniach waszych.

Przed kolacyą jeszcze usunął się z salonu i od tego wieczora Wanda przez miesiąc cały nie spotykała go nigdzie. Mówiono, iż wyjechał na wieś do siebie, wezwany nagłą depeszą.

Mroźne, krótkie dnie zimowe mijały. Szczebiot wróbli, śpiew skowronków, pęki rozkwitającej zieleni zwiastowały wiosnę.

MODLITWA.

Tryptyk Wacława Szymanowskiego.

Zachwyt czy rozczarowanie? Musiałoby to być dzieło nadzwyczajne, ażeby mogło silniej podziałać na widza, sto razy już wstrząśnionego hałaśliwą fanfarą „Modlitwy.“ Jeśli w kim była gotowość zachwytu, to musiała się wyczerpać przy czytaniu natchnionych poematów, jakie podkładano pod ten obraz. Zostało więc — rozczarowanie.

Lecz jak nie należy się poddawać pierwszemu zapałowi, który fama stugębna usiłuje wzniecić, tak źle jest zabrać z sobą do domu uczucie przykrego zawodu. Zresztą czyż w pewnych razach nie jest on do przewidzenia? I dziwić się tylko trzeba niektórym artystom, że przed wypuszczeniem płótna z pracowni robią co mogą, ażeby jego efekt spotęgować, a po wypuszczeniu robią lub pozwalają na wszystko, co jego siłę zmniejsza. Wacław Szymanowski, malarz poważny i wybitnie zdolny, dostał się już na szpalty pism humorystycznych i to gdzie? U nas, którzy zanim wyśmiejemy kogoś, mającego wpływy, wprzód spisujemy ostatnią swą wolę i oddajemy się Bogu... Wacław Szymanowski miał tę satysfakcyę, że nazwisko jego tysiąc razy mignęło jak natrętna skra przez wszystkie dzienniki, że z namaszczeniem opowiadano nawet, jak armia robotników mozoliła się nad ustawieniem jego płótna, a teraz mógłby bardzo łatwo zasłyszeć w sali Resursy Obywatelskiej, że nawet profani, ludzie bez własnego sądu, nazywają sławetne organki „szopką.“ Dalibóg, nie są to łzy krokodyle, lecz nam istotnie smutno się robi na sercu, że aureola humbugu i blagi, nieodzowna dla wszelkich pieszczochów kliki, spodobała się tym razem prawdziwemu artyście. I jest w tej reklamie jakaś brawura, daleka zupełnie od obłudnego krycia się za plecy usłużnych przyjaciół. Szymanowski wystąpił jawnie, sam niejako stanął przed swym tryptykiem i powiedział: Nie dziwcie się, że was budzę ze snu alarmem, jak gdyby stała się katastrofa — za granicą nauczono mię, że trzeba samemu przyłożyć rękę do koła Fortuny; skromność zbytnia bywa wstydem fałszywym.

Ta podniesiona przyłbica, lub raczej zdjęta maska, mogłaby być piękną, oryginalną, gdybyśmy żyli w jakimś Paryżu lub New-Yorku, gdzie nawet kaznodzieje się reklamują, a o mszach krążą afisze, ale tutaj — tutaj są inne zwyczaje; dzieło sztuki przedstawia się publiczności samo, no i — Bogiem a prawdą — do wypadków bardzo rzadkich należy, zwłaszcza w ostatniej dobie, ażeby jakaś rzecz kapitalna nie zwróciła uwagi, a marność jaka obwołana została za arcydzieło. Czyżby wina zapomnienia o tym prostym pewniku spadała na odległość między Warszawą a Monachium?

Otrząsnąwszy więc z siebie wszelkie kadzidła, przymusy moralne i poddawania myślowe, przyznajemy, że „Modlitwa“ grubo nas rozczarowała na razie. Potem, za powtórnem widzeniem, rozwiała jak puch wszystkie te dymy, którymi ją opinia czy to chwalcza, czy powściągliwa (takiej pono nie było) owinęła. A mam tu na myśli nietylko, że wprowadzono nas w błąd co do wartości, ale i co do treści, tematu, motywu.

To nie jest bowiem wcale obraz religijny, ani pobożny bardzo. Spodziewaliśmy się — bo tak kazano — jakiegoś szczytnego *sursum corda*, wzniesienia serc ku niebiosom, boskiego zachwycenia i uniesienia, a znaleźliśmy *naturę, żywioł*, elementarny poryw, w którym jest wszystko, ale najmniej uczucia mistycznego. Zdawało się, że na widok takich tłumów przejdzie nas świątobliwy dreszcz i zdejmie ochota klęknięcia wraz z nimi i że się poprostu odczuje błogi nastrój modlitwy, którego widok, jeśli jest szczerą i głęboką, taką ulgę dziwną przynosi i wprost koi duszę, a tymczasem mamy przed sobą *studyum* malarskie na wyrazy i typy. Wprawdzie przerasta ono rozmiarami wszystkie istniejące lub znane studya — ale to rzeczy nie zmienia. Stosunek między niem a widzem jest chłodny, tu nie stykają się dwa żary religijne, ażeby wywołać to, co wywołują obrazy mistrzów średniowiecznych, albo Odrodzenia. W nas podziw i uznanie — przed nami trzeźwość, charakterystyka, prawda, siła, wszystko, tylko nie zatopienie myśli w modłach. Jest tu parę kornych postaci, skruszonych szczerze i rozpłakanych sercem, ale większość to twarze mechanicznie rozkrzyczane, „roztwarte na oścież,“ jakby powiedział Heine. Dziewczyny, klęczące na dalszych planach pierwszego szeregu, są szpetne, zwierzęce, prawie dzikie, a ta bliższa w czerwonej chuście, znakomita w ruchu, wygląda, jak zaciekła w strejku robotnica z *Germinala*. Autor tak pamiętał zachować całą dosadność typu chłopskiego, i podał tyle jej odcieni, że oczywiście musiał zapomnieć o tym szlachetniejszym pierwiastku, jaki nam obiecuje tytuł.

Jak zrywa się z wyciem orkan i zamiata po ziemi, tak tu fala ludu rymnęła na posadzkę kościoła i woła „Święty Boże!“ Tak niewątpliwie chłopi się modlą i więcej pobożności na pewno od nich żądać nie można. A przecież to nie modlitwa rzewna, wzruszona i wzruszająca, ale zbiorowa histerya masy, która w naszem łonie oddźwięku wywołać nie jest w stanie. Chłop na jej widok przeniesie się od razu świadomością całą do kościoła, ale człowiek wykształcony zachowa całą obojętność postrzegacza.

Słowem, jest to obraz *realistyczny* zupełnie tego rodzaju, co *Kłótnia Huculów*; siła barbarzyństwo, wyrazistość oto cechy obudwu, a zarazem zalety ogromne, znamionujące w Szymanowskim indywidualność, jakby wychowaną pod wpływem Zoli, ale niemniej przeto wydatną. Ale co do nas, to wolimy tamten obraz dawniejszy: był on jednolity, jego energia padała w jednym kierunku. Ten zaś ma w sobie coś dwulicowego, za szeroki jest na pracę naturalistyczną, za zimny na motyw poetyczny. Artysta chciał snadź połączyć w nim dwie rzeczy, wzajem się poniekąd wyłączające, rozproszył swoją siłę bezpotrzebnie i, co najważniejsza, ukazał nam swą fizyognomię dawniejszą w bardzo przejrzystej, nie przekonywającej osłonie. Proszę pomyśleć na chwilę o *Assuncie* Tycyana. To także niewiasta z ludu i także szkarłatnie odziana, ale ile w niej ekstazy rozanielenia, mistycznego pół-bólu i półbłogości, nawianych bliskością nieba...

Obraz należy sądzić wedle tego, co zamierzał powiedzieć. Możnaby więc było mniemać, że twórca tryptyku zgoła o nastrój prawdziwej wzniosłej pobożności nie dbał, a w takim razie należałoby mu oddać wielkie pochwały. Takich twarzy kobiecych i męzkich, takiego wyrazu, takiej prawdy nie widuje się często. Możnaby mu wówczas i to wybaczyć, że jest jednostronnym, że ta wielka równa płaszczyzna głów nuży i razi pewnem ubóstwem pomysłu, który jedynie *sili się* na wygląd śmiałej, bezwzględnie surowej dla widza szerokości.

Ale boczne skrzydła tryptyku nadają całości cechę pewnego symbolizmu. Dzwon rozbujany na lewo i ołtarz z płonącemi

---

Zachęcona blaskiem słońca i pogodnem niebem, Wanda któregoś południa wcześniej, niż zwykle, wyjechała z matką na spacer.

W alejach tu i owdzie grupy kobiet, mężczyzn i dzieci wygrzewały się na słońcu. W powietrzu czuć było woń fijołków i to pulsujące życie wiosny, które wrażeniem odurzającej rozkoszy drga w każdej piersi.

— Wysiądźmy z powozu i zejdźmy na dół do parku — odezwała się Wanda do matki.

Powóz stanął. Obie kobiety zeskoczyły lekko ze stopni i skręciły ku bramie, prowadzącej do Łazienek. Zaledwie wszakże postąpiły kilka kroków wzdłuż cienistej alei, wysoka, szczupła postać mężczyzny, spacerującego tam i napowrót samotnie, zwróciła ich uwagę. Podszedłszy bliżej, poznały w nim Maryana, który z głową, zwieszoną na piersi, zamyślony, nie postrzegając nikogo, szedł zwolna pod górę.

Schudł i zmizerniał w ciągu ostatnich kilku tygodni. Rysy jego twarzy wydłużyły się, policzki zapadły, ramiona obwisły, oczy wpadły w głąb czoła.

Wanda drgnęła całem ciałem, zobaczywszy go.

— Co się działo z panem przez cały ostatni miesiąc? — spytała, podając mu rękę. Dla czego nie spotykałyśmy go nigdzie? Czy zawarta przez nas przyjaźń ma szanse trwania w odległości jedynie?

Głos jej, drżący wyrzutem, dopowiadał:
— To źle, to się nie godzi opuszczać tak bez przyczyny znajomych swoich.

Jednocześnie w głębi swej istoty uczuła wielki niesmak, wielką niechęć dla samej siebie.

— Po co zadałam mu to pytanie? — myślała. Nic mi na przyjaźni jego nie zależy; nie pragnę jej utrwalenia; jestem spokojniejsza, szczęśliwsza, gdy go nie widzę...

— Uczucia kobiety — to pianka, która rozrywa się i pryska, zanim jakąbądź formę nadać jej zdołamy — rzekł Maryan z sarkazmem w głosie.

— Kilka tygodni temu w rozmowie ze mną przyznał pan, iż mam w sobie coś, co wyróżnia mię od całego szeregu innych kobiet: dlaczegóż dziś tak po barbarzyńsku zostałam wtłoczona w ogólny szablon? spytała Wanda, nie patrząc na niego.

— Kilka tygodni temu, rozmawiając z panią, byłem po dwóch czy po trzech kieliszkach mocnego koniaku, jakimi poczęstował mię uprzejmy gospodarz. Mam słabą głowę: nie pamiętam w podobnych razach nazajutrz nigdy tego, co mówiłem dnia poprzedniego...

— Arogant, impertynent, człowiek bez wychowania! — pomyślała Wanda; przygryzając wargi i ściskając rączkę parasolki drżącymi w gniewie i oburzeniem palcami.

— Jestem zmęczona: może zawrócimy i wsiądziemy już do powozu? — rzekła głośno, zwracając się do matki.

— Czy wiosna osłabia panią tak bardzo? — spytał Maryan, patrząc na nią oczami, które mówiły:

— Rozgniewałem cię: wiem o tem; zrobiłem to umyślnie.

— Wiosna osłabia tylko chorych i zdenerwowanych: ja jestem zdrowa zupełnie i dlatego właśnie nie mam chęci prowadzenia rozmowy, nacechowanej listopadową zgryźliwością — odparła, wychodząc szybko z parku.

— I ten człowiek, którego nieciepię, nienawidzę, którego każde słowo drażni mię i oburza, któremu złorzeczę, jako demonowi swego losu: ten człowiek nie schodzi z myśli moich, widzę go wszędzie, we śnie, na jawie; co to znaczy? dlaczego ściga mię jego obraz? kiedy i jak skończy się ta męka? — myślała Wanda w kilka minut później, siedząc obok matki w powozie, który stępa przez aleje wracał do domu.

(D. c. n).

C. Walewska.

swiecami na prawo *nastrajają* pobożnie i mają niewątpliwy cel suggestyonować uczucie modlitwy (zupełnie tak samo, jak gra na organkach). Dzwon bowiem to całkiem inny, niezależny miejscem moment, bo wisi kędyś na wieży, a jeśli tu sąsiaduje wprost z tłumem, to znaczy że jest symbolem, albo nazywając rzeczy po imieniu — symboliczną sztuczką. To samo stosuje się do promienia słonecznego, albo raczej cudownego, który pada ukośnie z góry i wielką smugą przekątnią sięga aż dzwonu. Przeznaczenia jego dwojako tłomaczyć sobie nie można, jak niemożna mylić się co do roli trybularza. Są to niby wagnerowskie wtóry, a nie zwykłe rzeczowe dodatki obrazu, są to kamertony, mające ucho odpowiednio nastroić. Szkoda tylko, że ołtarz jest tak nikły, iż pozostaje zupełnie nieusprawiedliwionem, co na ową ciżbę tak podziałało. Przyczyna jest w stosunku do skutku — żadną. Skromna monstrancya i parę płonących świec składają się zaledwie na domowy ołtarzyk do nabożeństwa majowego.

Wszystkie te pomysły oryginalne autora, jego szczególny sposób pojmowania tryptyku, ów snop światła mistycznego zdradzają rwanie się do jakiejś syntezy; to niby pokusa stworzenia czegoś niebywałego i wpuszczenia do malarstwa fali poezyi symbolicznej w zdrowem znaczeniu wyrazu. Ale z tym chwalebnym zamiarem zerwania z rutyną nie licuje bynajmniej jego wcielenie, wykonanie. Oryginalność jest robiona, nie przeżuta i nieprzetrawiona. Żywioł dawniejszy artysty — dosadność wyrazu namiętnego — wyśmienicie wyzyskany, żywioł nowy — w powijakach, naiwny, naciągany. Dobrze jest, gdy można łatwo odgadnąć intencyę autora, ale gdy ona zanadto wyłazi na wierzch, krzykliwie, młodo i natrętnie, wrażenie zaprawia się melodramatem.

Odpowiednio do tego i wartość techniczna jest dwojaka. Głowy wyborne, więcej niż żywe, oświetlenie i refleksy efektowne, kombinacya świątecznie białego z czerwonem — świetna jak zawsze u Szymanowskiego, swojskość typów nieposzlakowana. Największą zaś może zaletą, powstałą z pokonania największej trudności, jest wytrzymanie skali. Przy tak wielkich rozmiarach płótna, gdzie postacie są podwójnie naturalnej wielkości, niektóre tylko figury rażą ogromem, jak np. ubrany z waszecia jegomość na pierwszym planie. Szymanowski nie ma palety bogatej, ale niezmiernie jędrną i energiczną. Ręka jego uderza pewnością i wprawą, maluje szeroko, ogólnikowo ale dobitnie. Ale znowu sam promień jest twardy i gęsty i nie tyle przypomina prawdziwe światło, ile ratunkowy wór strażacki z płótna, z okna ku brukowi ulicy wyciągnięty. Gęstość jego zmienia się zresztą bardzo łatwo i nagina do potrzeby artysty, tak że w powietrzu jest większą niż na twarzach.

Patrzyłem na modlitwę parokrotnie w chwilach, gdy sala była najmniej nawiedzaną, i z całą dobrą wolą wsłuchiwałem się w muzykę poważną, uroczystą, przenikającą. I rzecz dziwna, unosiła ona ducha w regiony całkiem inne, niż obraz. Wrażenia oka i wrażenia słuchu nie okazywały najmniejszej skłonności do zlania się. Przeciwnie, organki jakgdyby uwzięły się dowieść, że to co one mówią jest naprawdę religijnem i wzniosłem i nie wchodzi w żadną łączność z tem, co opiewają te barwy i kształty. Innemi słowy koncert ten muzyczny jest bardzo na miejscu, bo działa jak sprawdzian, jak probierz sentymentu, i zdradziecko odsłania jego brak. Widziałem niektóre rzeczy Bretona, widziałem „Anioł Pański“ Aleksandra Gierymskiego. Były to płótna bezwątpienia mniej silne swą dosadnością i mniej energiczne w charakterystyce, ale tchnęły liryzmem, były szlachetniejsze i przedewszystkiem mniej pretensyonalne i... amerykańskie.

Cezary Jelenta.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z NIEMIEC

Berlin, 15 października.

Militaryzm niemiecki i jego wrogowie. — Proces w Hanowerze. — Jubileusze: Virchowa, Mammsena i Weinholda.

Dwa ciosy otrzymał militaryzm niemiecki: jeden bezpośredni, wypływający z układu stosunków społecznych, historycznie powstały, tem samem już konieczny, bezustanny i trwały, drugi nie posiada wprawdzie tak wybitnie bezpośrednich przesłanek, nie daje się skrystalizować przy pomocy statystyki w przejrzystą formułę matematyczną, wypływa raczej z „duszy“ i na „duszę“ narodową oddziaływa niwelująco i burząco — ale i z nim liczą się sfery wpływowe. Pierwszy — to ogłoszona teraz dopiero statystyka wyborów majowych do parlamentu, która odsłania widnokrąg i pozwala przyjrzeć się tym niezliczonym już dzisiaj zastępom wrogów militaryzmu i żądnych rozbrojenia mas narodu niemieckiego. Drugi — to proces szulerów i lichwiarzy hanowerskich, który w oczach t. z. „dziesięciu tysięcy szczęśliwych“ porwał na strzępki świetlany nimb, jaki otaczał dotychczas pustą i niezdrowymi wyziewami zwierzęcych rozkoszy napełnioną głowę lejtnanta. Naród już oddawna przyzwyczaił się widzieć jej istotne kształty i fetyszyzmu Fryderykowskiego wyzbył się zupełnie: obecnie do dawnych poglądów na istotę militaryzmu przyłączyć może wstręt i pogardę.

Cyfry w istocie — mówią. Jeżeli bowiem nawet policzymy w rachunku „dochodów“ militaryzmu wszystkie bez wyjątku (co jest nieprawdą) głosy antisemickie, polskie i wolnomyślne, to i wtedy pokaźnej cyfrze (3,2 milj.) zwolenników jego przeciwstawić będzie można o czwartą część większą ilość przeciwników, równą 4,300 tyt. Zauważmy, że w owych 3 milionach głosów mieszczą się takie (głównie takie), którym bicz głodowy, obawa wypędzenia z fabryki, z folwarku, z każdego przytułku przed chłodem i nędzą, kazał zamiast własnych wypowiadać myśli panów. Pomimo to — pragnienie narodu potrafiło ucieleśnić się w pięknym kryształku miliona z górą ludzi, który dla historyka przyszłego stanowić będzie ważny dokument dziejowy.

Zjazd koloński mało zawierał momentów takich, na których dla ich oryginalnej nowości zatrzymaćby się należało. Stwierdził przez statystykę państwową uznany wzrost demokratów w państwie niemieckiem, których partya z ogólnej liczby ważnych głosów 7,7 milionów zabrała 1,7 milj. przy ostatnich wyborach, posyłając do parlamentu 44 deputowanych. Jest to stosunek olbrzymi. Zrozumiemy go lepiej, jeżeli dodamy, że w porównaniu z wyborami poprzednimi (1890 r.) liczba oddanych głosów powiększyła się w roku obecnym o 473 tys. (ułamki opuszczamy tutaj, jakoteż w rachunku poprzednim) — sama liczba zaś społeczno-demokratycznych wzrosła o 859 tys.

Proces hanowerski, ze względu na oskarżonych i skazanych lichwiarzy i szulerów, nie zawiera nic nowego, niebywałego dotychczas. W chwili, gdy piszę te słowa, w tym samym Hanowerze rozpoczynają się obrady nad inną grupą do złudzenia podobniusieńkich szubrawców, a pisma berlińskie głoszą, że policya stołeczna jest na tropie podobnej zwierzyny i tutaj. Rzecz więc to codzienna. Ale biedny lejtnant pruski musiał przy tej sposobności w towarzystwie kilku „obskurnych żydów“ nasłuchać się od każdego, na kogo spoglądał dotąd z góry, tylu upokarzających słów wzgardy, a wreszcie sam cesarz ugodził w niego reskryptem! Przy tej sposobności erudycya niemiecka rozszerzyła znakomicie historyczną perspektywę obrazu „nędzy i rozpaczy.“ Okazuje się, że owa nędza moralna, ten absolutny zanik wszelkich lepszych instynktów, jakiegolwiekbądź poczucia obowiązków jest istotnie... arystokratycznym. Już w XVII-ym wieku lejtnant występuje jako kretyn (podczas wojny siedmioletniej większość oficerów nie wiedziała, co znaczy „kolumna“) pijaństwo, rozkosze płciowe i gra — oto trójkąt w granicach którego zamykało się ich życie. Boyen nazwał wtedy ich korporacyę — towarzystwem kupczących kramarzy — a niezliczone nakazy gabinetowe Fryderyka świadczą wymownie o stałości upodobań, które aż w paragrafach „Landrechtu“ pruskiego musiały być specyalnie uwzględnione (cz. I, tyt. XI § 684). Najpopularniejszy z generałów, pogromca Napoleona — Blücher pozostał typem tego gatunku tak wybitnym, że rozniósł sławę imienia niemieckiego po jaskiniach gry Londynu i Paryża: za jego czasów zamiast grać w karty — mówiono „blüchern.“ I w czasach najnowszych od r. 1850 niejednokrotnie mówiono w prasie i u dworu o upodobaniach i długach oficerskich. Rozporządzenia mają atoli to do siebie, że natury ludzkiej nie zmieniają.

Zasługi Virchowa wielokrotnie już ocenione były w nauce i prasie naszej. Niemcy nazywają go swoim Arystotelesem: w istocie obszary jego myśli są tak wielkie i różne, tak niejednorodne, a przytem w każdej pozostawił tak głębokie ślady swej pracy, że aż do czasów odległych sięgnąć było trzeba, ażeby określić przynależne mu miejsce. Nietylko, że zasługi jego w dziedzinie specyalnie medycznej są niespożyte a na polu patologii dokonały zupełnego przewrotu, ale na innych zdobył wawrzyny. On założył towarzystwo antropologiczne w Berlinie, on też redagował „Czasopismo dla etnologii,“ „Archiwum patologii,“ „Zbiór odczytów popularnych.“ On umiał jednocześnie uczyć w uniwersytecie, prowadzić rozprawy w różnych Towarzystwach naukowych, czynić odkrycia w laboratoryum, wespół z Schliemannem odtwarzać przeszłe dzieje ludzkości i być przez lat wiele członkiem parlamentu niemieckiego. Pracowitość ta jest zdumiewająca: wtedy, kiedy u nas dawno już nauczyciel z czystem sumieniem oddawałby się słodkiej drzemce emeryta — Virchow wykłada przez *trzy* godziny dziennie w uniwersytecie, nie opuszcza żadnego zebrania naukowego — wciąż szeroko otwartem okiem patrząc w niezbadaną i nierozwikłaną sieć zagadek nauki. Polityka przestała go nęcić: czas ów, kiedy wysłany na Szląsk dla zbadania przyczyn szerzenia się tyfusu, wrócił z żądaniem polepszenia warunków bytu dla głodnej ludności — już minął. W roku bieżącym stracił mandat do parlamentu — i teraz długo dał się prosić przez współwyznawców, zanim postanowił kandydować ponownie.

Wspomnieliśmy o pracowitości. Rzeczywiście nie podobna nam, przyzwyczajonym do innych nieco zwyczajów i obyczajów, nie wyrazić podziwu przy rozważaniu stosunków tutejszych. Tutaj profesura uniwersytecka jest wszystkiem — tylko nie jest próżniaczką. Im więcej przyglądam się pracy docentów, tem silniej odczuwam całą potęgę systemu szkolnego. Profesor (mam na myśli oddzielne wypadki) wykłada trzy, niekiedy cztery przedmioty, zajęty jest codziennie 3—4 godziny w uniwer-

sytecie samym, nie licząc seminaryów i konserwatoryów, nie licząc także tego, co pisze i drukuje. Jeżeli określić możemy, ile potrzeba trudu, długiej, mozolnej nauki, ile artyzmu dla ułożenia porządnego wykładu uniwersyteckiego — stojącego na wyżynie wiedzy współczesnej — to zrozumiemy łatwo, ile pracy ci ludzie poświęcić musieli na przygotowania, na studya, jak zapomnieć musieli o wszystkiem, co z książką bezpośrednio związanem nie jest. Rodzaj kanonu, ewangelii pracy, od wieków dawnych, od pokoleń i stuleci głoszono narodowi germańskiemu: czy w fabryce, czy w nauce, jako kramarz i jako profesor posiada niemiec w sobie coś z kolonisty: świadomość celu niezmąconą, żelazną wolę, wytrwałość, nieważającą na przeszkody. Czy kanon ten właściwym jest tylko narodowi niemieckiemu — nie wiem; ale zdaje mi się, że niektórym narodom nie jest on właściwym, a może nawet obcym.

Kiedy mówimy: Mommsen, budzić się zaczyna w nas i wokoło nas świat cały zamierzchłych stosunków i walk życiowych, który on magiczną swą różdżką nanowo powołał do życia, świat odrębnych poglądów i ideałów, który z drobnej kolonii rozbójniczej rozrósł się do niebywałej potęgi, bo orzeł rzymski pieścił swój słuch szumem Atlantyku, przeglądał się w lustrzanej powierzchni Nilu, rozrywał na strzępy ziemię judejską. Poeta niemiecki Rodenberg w kilku dobitnych zdaniach dał znakomitą charakterystykę Mommsena: „Ten tutaj z silnie zakreślonymi rysami, z czołem i nosem jak w głowie cezara wyrytej na monecie rzymskiej — to Mommsen, to oblicze, mające w sobie coś orlego... Gdzie jest Mommsen, tam jest i Rzym, on odbudował go takim, jakim był w istocie, zniszczył wszelką mgłę bezpodstawnych hipotez — i dał nam państwo i miasto na siedmiu pagórkach w ich prawdziwym rozwoju dziejowym. Wszędzie jest znakomitym, jako prawnik, jako filolog, jako numizmatyk, jako badacz napisów — jako uczony i jako poeta. Wszystko w nim jest jędrne, wyraziste: oblicze, akcent, sąd. Nikt tak nie zrozumiał świata rzymskiego, tak go nie ukochał, ażeby wykazać i ogłosić wszystkie szkody, które krył w swem wnętrzu — jak Mommsen ostatni jego Cenzor. Kiedy go spotykamy tutaj — fryzyjczyka na północy pruskiej — wtedy spływa na nas jak gdyby niewypowiedziany czar Italii, jej przepych i jej melancholia; odczuwamy naszą nicość przed jej majestatem i tęsknotą za jej ruinami..." Nie będziemy wyliczali długiego szeregu wiekopomnych dzieł Mommsena — są one znane historykom, prawnikom i szerokim warstwom publiczności ogólnoeuropejskiej. Zaznaczymy jednak, że Mommsen w r. 1848 był na stanowisku właściwem, wydawał pismo przeznaczone nie — dla archeologów, pisał wiersze („Pieśń do ognia"), skutkiem czego przez lat kilka musiał uczyć historyi — w Zurychu. Dopiero w r. 1854 widzimy go we Wrocławiu i przez lat czterdzieści już jest ozdobą nauki niemieckiej. Jego przywiązanie do nauki nie ma poprostu granic. Urodzony w r. 1817 a więc dzisiaj starzec 76-letni pracuje po bibliotekach rzymskich, jak najmłodszy z jego uczniów. Kiedy przed laty kilku pożar zniszczył skarby jego księgozbioru, zaledwie powstrzymano go od samobójstwa: rzucił się w płomienie, ażeby uratować drogocenny rękopis rzymski.

Trzeci z jubilatów, Karol Weinhold, jest najmniej z nich znanym, najmniej także zasłużonym. Niejeden z czytelników naszych usłyszy o nim dzisiaj po raz pierwszy i ostatni zarazem. Weinhold jest germanistą, filologiem, który wielkie położył zasługi na polu specyalności swojej — a szerszemu ogółowi znanym jest z pracy o kobietach niemieckich w średnich wiekach, jednej z najpierwszych, która doczekała się kilku wydań późniejszych. Może i to szczegół ciekawy, że Weinhold był profesorem w Krakowie — dawno, przed 40-u laty. W obecnym roku akademickim jest rektorem uniwersytetu niemieckiego, a obejmując berło władzy, powitał studentów mową.

„Uniwersytet — mówił on — zapoznając was z oddzielnymi przedmiotami wykładowymi, czyli z wiedzą specyalną, daje zarazem możność wchłaniania ogólnego wykształcenia współczesnego w całkowitym rozwoju: filozofii, nauk społecznych. Jest to dla nas smutnym faktem, że największa część studentów nie wykazuje żadnego zainteresowania dla przedmiotów, wychodzących poza zakres wiedzy specyalnej. Znamy głęboką przyczynę tej niechęci: brak dążeń idealnych, który jest chorobą czasu; wiemy, że ów obraz skończonego człowieczeństwa, do którego dążyła pełna entuzyazmu młodzież dawnych czasów, mniej opływająca w dostatki i rozkosze — stracił na barwach. Nie pytali: czy będę z tego zdawał egzamin? czy za to dostanę stopień? czy mi się to przyda w urzędzie? Byli owiani jak gdyby duchem Schillera i Goethego, którzy nigdy niezmęczeni starali się zdobyć najwyższe i najszlachetniejsze szczyty wykształcenia ludzkiego... Schmoller i Gneist, dwaj najznakomitsi przedstawiciele prawa i nauk społecznych, przed kilku miesiącami zwrócili się do was prawie że z taką samą odezwą. Ich głosy znalazły wysokie uznanie w całych Niemczech i Austryi, bo wypowiadały to, co już dawno było publiczną tajemnicą. Nasze czasy są poważne i przyszłość staje przed nami brzemienna burzą, która szarą i żółtą chmurą grozi wylękłej niwie naszej. Ze Wschodu i z Zachodu płyną obłoki, niepokój budzące i pod stopami naszemi tętni głucho walka partyj i klas. Bezrozumne, lekkomyślne postępowanie, żądza rozkoszy, pogoń za groszem — oto są widma, które unoszą się nad moczarami naszemi... I dla tego ja dzisiaj pozwalam sobie inne wam ofiarować hasło — *Obowiązek!*"

Zen. Por.

Z PODRÓŻY.

(Luźne notatki).

XXI.

24 sierpnia, na wodach Wisconsinu.

Piersi po kilkumiesięcznym kurzu, którym oddychały w Chicago, chciwie łykają czyste, leśne powietrze, unoszące się nad wodami Wisconsinu. Niewielki parostatek pruje fale rzeki, które spokojnie toczą się wśród głębokiego, krętego parowu. Prostopadło skały sterczą na kilka piętr, przyodziane bujną zielonością a zaklęte w dziwaczne kształty. Przyroda niby artysta w chwilach rozkiełzanej fantazyi, swawolnie igrając z twardym głazem, wyrzeźbiła w skale krużganki, baszty, kryjówki, schody. Z daleka nieraz można by mniemać, że urwiska dalej nas nie puszczą. Dojeżdżamy i przed wzrokiem otwiera się inny skręt, a zawsze odmienny. Ząb czasu z prądem rzecznym zamienił głazy na nieskończone pasmo koronek, tak urozmaicił, porznął i pogryzł powierzchnię murów wybrzeżnych. Tu i owdzie skała ciągnie się regularnemi półkołami różnej wielkości, ale jednakiej prawidłowości, zawsze wystająca u góry, mokra, oślizła i uhaftowana wilgotnym mchem u podnóża, skąpanego w nurtach rzeki. Tam, gdzie półkoła się schodzą, ciemna rozpadlina, wązka u wierzchu, wżera się w łono kamienia — w ponurej jaskini obchodzą one gody swego zetknięcia, a pluszcząca w mrokach woda jest jedynym ich świadkiem. Gdzieindziej ściana została przerwaną: przez otwór do Wisconsinu wlewa się potok piasku, letnie łożysko burzliwego strumienia wiosennego. Wśród nas kręci się mnóstwo malców z poblizkiej osady kolejowej, jeden częstuje rzeźbionym kijem i zabarwionemi na prześliczny błękit skorupami muszli, inny — fotografiami wrót i burt skalistej warowni.

Doba drogi przedziela mnie i moich towarzyszów od wielkomiejskiego śmietniska. Mamy przed sobą jeszcze kilka dni drogi do stepów pszenicy w Dakocie, a przejażdżka po powierzchni Wisconsinu ma nam skrócić nudy podróży kolejowej. Jest nas kilkunastu — istna wieża Babel języków i ludów, bo są przedstawiciele każdego kraju, uczestniczącego w wystawie. Znajdujemy się w gościnie. Towarzystwa kolejowe, władające olbrzymią siecią dróg pomiędzy okolicą wielkich jezior, a odległem wybrzeżem Oceanu Spokojnego, urządziły tę niespodziankę. Wiozą nas do porzecza rz. Czerwonej, tego bajecznego zakątka urodzajności. Po drodze czekają nas uroczyste przyjęcia ze strony kilku miast, wizyty do różnych folwarków i zakładów. Do naszego rozporządzenia dano cały pociąg z sypialniami i salonami, przyczepiono restauracyę i piwnicę. Jeżeli zechcemy, stanie on wśród preryj, z któremi niebawem się zetkniemy, a my będziemy mogli urozmaicić podróż polowaniem na dzikie ptactwo stepowe.

24 sierpnia, z okna wagonu.

Nowoczesny sposób podróży — koleją — posiada swoje dodatnie strony. Niekiedy mamy prawo narzekać, gdy zbyt rychło wyrywa nas z jakiegoś zakątka, w którym przyroda skupiła swoje powaby i przenosi do mniej uroczego widoku. Ale są wypadki, kiedy kolej jest istotną dobrodziejką. Przed godziną przejechaliśmy przez kilka rękawów, składających się na „matkę wód," potężną Missisipi, a odtąd jej prąd towarzyszy stale torowi kolejowemu. Jakkolwiek jest to górna część tego olbrzymiego nurtu, niepodobna wyjść z podziwu nad jego ogromem. A widoki! Znam różne ustronia naszej części świata, ale sądzę, że nadejdzie chwila, gdy zblakną wobec uroków przyrody amerykańskiej. Wyspy kąpią się w wodzie za wyspami, a pomiędzy niemi wiją się odnogi. Na dalekim widnokręgu wznoszą się wierzchołki skał, cyple stoją samotnie lub stęsknione za towarzystwem, idą pasmami. Zachodzące słońce barwi urwiska jaskrawą żółtością, a cienie z połaciami świetlnemi potęgują wrażenie.

Przyroda zdradza wszechmoc! Jakby drwiła ze wszystkich zamiarów ręki ludzkiej zaprzęgnięcia jej do jarzma. Ale to tylko z pozoru. W starej części świata może pozostałaby swobodną, ale tutaj znalazła poskromiciela. W dość prawidłowych odległościach ziemia językiem wązkim a długim wsuwa się w łono wód, niekiedy prawie przerzyna całą rzekę i przedziela ją na pasmo zagród. Te języczki, tak skromne na pierwszy rzut oka, są może jednem z najśmielszych dzieł inżenieryi rzecznej. Królowa wód w swojej górnej części była ongi kapryśniejszą, bo potężniejszą, aniżeli nasza Wisła; przeszłoroczne rękawy zamieniała na ławicę piasku, nawet koryto przekształcała na szereg głębszych kałuż wśród wydm, pomiędzy któremi leniwo sączył się wązki przesmyk. Ale amerykaninowi zbrzydły te bezustanne psoty, a w kraju niemilitarnym państwu nie zbrakło środków na poskromienie swawolnicy. Sztuka inżenierska wyznaczyła ławinom piasku stosowne miejsca do legowiska i tem samem zniosła z czasem niektóre odnogi, za to głównemu prądowi zabezpieczyła dostateczną głębokość. Nurt poddał się, co więcej przybrał cechy jeszcze większej potęgi. A na wodzie wciąż spotyka-

my prawdziwie amerykańskie obrazki. Z przesmyków zrobiono istotne zagrody, zamknięta powierzchnia cała jest pokryta klocami — to chwilowa przystań dla spławianego budulca. Tratwy zwolna płyną, zbudowane prościej, niż nasze i bez człowieka, woda niesie je sama, a tylko jeden dozorca w łódce im towarzyszy.

Mrok pokrywa wody i zmusza do rozstania się z widokami. Zresztą trzeba porządkować rzeczy, zbliżamy się do Saint-Paulu, gdzie zabawimy cały dzień jutrzejszy.

24 sierpnia, Saint-Paul, Ma.

Urzędowe przyjęcie ze strony obywateli S. Paulskich odbędzie się dopiero po południu. Ranek wolny. Korzystam z tej swobody i wsiadam do pierwszego lepszego tramwaju, chcę bowiem poznać miasto. W porównaniu ze znanemi mi dotychczas amerykańskiemi ogniskami ludności St. Paul wygląda nadzwyczaj schludnie. I nic dziw. Jest ono miastem obrotów finansowych, nie wznoszą się nad niem zakopcone kominy warsztatów, a brudne koszary fabryczne nie szpecą ulic. Fabryki usadowiły się w poblizkim Minneapolisie. Tramwaj wiezie mnie wśród rzędu nieprzerwanych murów. Ale trwa to krótko. Kilka minut i wydobyłem się zpośród murowanej dzielnicy. Droga zwolna idzie po pochyłości, wjeżdżamy na wyniosłość nie mniejszą, aniżeli ta, na jakiej leży Warszawa, ale tramwaj posuwa się z taką samą prędkością — muszę nadmienić, że motorem jest elektryczność. Przejeżdżamy wśród drobnych domków. Jeden ciągnie się za drugim na powierzchni trawników bez końca.

Wreszcie jesteśmy na górze. Droga nasza z ulicy zamieniła się na zwykły, niebrukowany gościniec, w pośrodku biegną szyny tramwajowe, po nad głową wiszą druty, które na rozdrożach krzyżują się i tworzą istotną siatkę w górze, z obu stron ciągną się drewniane chodniki, miejscami łatane. Domki coraz rzadsze, pomiędzy niemi nie widać parkanów, sucha trawa murawy świadczy, że mieszkańcy nie mają czasu, aby pielęgnować zielone kobierce. Ale chaty są czyste, schludne, wygodne. Jeszcze kilka minut dalej i widok staje się coraz bardziej wiejskim. Trawa bujnie z zielskiem porosła gościniec, z niej wyglądają i lśnią na słońcu stalowe szyny. Chodnikom znudziło się nam towarzyszyć, nie widzę ich dalej. Lecz domki ciągną się bez końca — jeszcze rzadsze. Odrazu można spostrzedz, że S. Paul rozrasta się wzdłuż arteryj ruchu tramwajowego, te organy komunikacyjne wprzódy istnieją i zakreślają kierunek dla rozwoju szkieletu miejskiego. Fizyologia panuje nad morfologią, oto wielkie prawo Zachodu amerykańskiego! W takich warunkach domki nie są zmuszone oszczędzać przestrzeni, koszt jazdy z każdego punktu do środka miasta jest jednaki. Jedziemy pół godziny i zawsze przed sobą mamy ten sam widok ulic, które trzymają się toru tramwajowego, podczas gdy z po za domków przegląda pole. Nie spodziewając się, abyśmy ujrzeli coś odmiennego, przesiadamy się z towarzyszem w tramwaj, idący z powrotem. Na każdej linii spotkałoby nas to samo. Kilka minut „miasta“ — dzielnicy handlowej, a później zabudowany gościniec, przedzielony polem od innego.

Niebrukowana droga z siecią drutów, szyny kolei elektrycznej połyskujące z pośród piasku! Ale Ameryka rozwija się zbyt szybko, nie ma czasu na bruki... Zaprowadza kolej elektryczną, ponieważ ten środek komunikacyi jest najtańszym, i poprzestaje na torze. Czy mu towarzyszy piasek, czy bruk, sprawa ta jest obojętną. A raczej ów bruk jest wydatkiem nieprodukcyjnym. Mieszkańcy wolą go nie mieć — nic płacą podatku, wygód zaś nie tracą.

* * *

Obrazek z techniki amerykańskiej. Przez nurty Misisipi przerzucono kilka żelaznych mostów z właściwą amerykanom śmiałością i lekkością budowy — rutyna inżenierów europejskich wzrusza ramionami na taką „lekkomyślność“, ale nie słyszałem, aby mosty w Ameryce waliły się częściej, niż w naszej części świata, spełniającej wszystko z taką niby dbałością. Wznoszą się one bardzo wysoko po nad powierzchnią wód. Na jednym z nich stoję w obecnej chwili i podziwiam widok. Pod nim bowiem zbudowano drugi, idzie zaś on skośnie, pamiętajmy skośnie, tj. nie po najkrótszej linii pomiędzy dwoma brzegami. Most ten służy do użytku jednej z linii kolei żelaznej. Ale technika amerykańska nie poprzestała na przeprowadzeniu mostu pod mostem. Poszła ona jeszcze dalej. Wyobraźmy sobie oś nieruchomą, około której obraca się pewna część tego żelaznego mostu kolejowego. Siła pary jest motorem, za pomocą którego ów obrót następuje. Otwiera się naówczas wolne przejście dla statków, a kiedy transport wodny przejdzie, odsunięta tafla obraca się dalej, most znowu jest całym i zwartym i po nim mknie pociąg kolejowy...

* * *

Pierwsze wrażenie rozstrzyga o całości i kładzie swoje piętno na dalsze. Teraz, kiedy w sposób szybki poznaję S. Paul, zaczynam mniemać, że sądy moje o Chicago są bezwarunkowo zabarwione pewnem uprzedzeniem. Osiedliłem się w jednej z brudniejszych, chociaż jeszcze nienajbrudniejszej dzielnicy, wrażenie zaś, które na początku otrzymałem, nie opuściło mnie i później. Nadto „gród zdobywców świata“ poznawałem częściami, zwolna, i te fragmenty jakoś nie złały się z sobą. A jednak, jeżeli wziąć pod uwagę przestrzenie w tem mieście wolne od kurzu, pokryte zielonością, z mnóstwem przestworza, czy one nie wyniosą takiego procentu, jakiego nadaremnie poszukiwalibyśmy w naszej Europie? Zresztą z wzorów, jakich dostarcza Chicago, nie wolno sądzić o Ameryce. To miasto leży w Stanach Zjednoczonych, przesiąkło duchem miejscowej kultury, a raczej przesiąka, lecz bądź co bądź nie jest jeszcze amerykańskiem. Jest to olbrzymi przytułek dla ubogiej cudzoziemczyzny, która do niego przepływa bezustannie, zbierze nieco grosza i udaje się dalej. Wśród rdzennej ludności ma ono sławę nieszczególną, niemcy amerykańscy nadają mu charakterystyczne miano. *Dreckloch*!

L. K.

SZKOŁY ZAWODOWE.

Przed paru laty, po ogłoszeniu planu reformy wykształcenia zawodowego, dano „inicyatywie prywatnej“ możność szerzenia nauki z warunkiem zachowania programu oficyalnego. Zbudziło to narazie ogólne zainteresowanie, wskazano nawet miejsca i rodzaj szkół niezbędnych. Dotychczas wszakże w Królestwie Polskiem (w Cesarstwie również), „inicyatywa prywatna“ nie wiele zrobiła. Można jej poniekąd przypisać szkołę sztygarów w Dąbrowie i reformę szkoły łódzkiej w duchu wymagań przemysłu miejscowego. Po za tem prawie nic. Obok potrzeby różnorodnych typów szkół, niezbędnych dla kształcenia w zawodach technicznych i mechanicznych, tj. dla stworzenia armii zdolnych pracowników w zawodzie przemysłowo-fabrycznym, brak źródeł wiedzy daje się bardzo odczuwać również w rzemiosłach. Nadmierny napływ kandydatów do dwu istniejących w Warszawie takich szkół (Konarskiego i Kühna), wymownem jest tego świadectwem. Obecnie przynajmniej choć część odrzuconych z braku „wakansu“ znajdzie miejsce w nowej szkole rzemieślniczej, która w tych dniach została otwarta przy ul. Składowej nr. 3. Oto jej program: Warsztaty: ślusarski z kuźnią i odlewnią, stolarski, tokarski na drzewie, krawiecki, szewcki i rymarski. Nauka każdego rzemiosła będzie wykładana przez uzdolnionego majstra, który na żądanie rodziców lub opiekunów ucznia będzie obowiązany zapisać go w cechu na terminatora, a po ukończeniu nauk wyzwolić na czeladnika. Do zakładu będzie przyjmowana młodzież od 10-go roku życia, z dołączeniem metryki, świadectwa o szczepieniu ospy, świadectwa szkolnego, stwierdzającego, że kandydat umie czytać i pisać po rusku i po polsku tudzież zna cztery działania arytmetyczne. Nie mający świadectwa szkolnego obowiązani będą uczęszczać do szkoły rzemieślniczej niedzielnej. Opłata za naukę ślusarstwa, stolarstwa i tokarstwa wynosi 18 rs. rocznie za krawiectwo, szewctwo i rymarstwo — 12 rs. rocznie z góry, lub miesięcznie za odpowiedniem poręczeniem. Nadto każdy uczeń wstępujący musi zapłacić 2 rs. tudzież ponieść koszt zapisania do cechu i — wyzwolin. Kierownikiem szkoły jest p. Aleksander Rakowski, przez lat wiele nauczyciel i dozorca warsztatów w Instytucie głuchoniemych i ociemniałych.

Tyle „inicyatywy prywatnej.“ Zobaczmy, co rząd zakreśla w dziedzinie kształcenia fachowego, obok tego, co już zrobiono: W ciągu r. 1894—1895 powstanie szereg szkół przemysłowych, niższych mechaniczno-technicznych z wydziałami: mechanicznym, chemicznym i budowlanym w Kazaniu i Jekaterynosławiu, gdzie już na ich pomieszczenie zaczęto budować gmachy. Dalej: szkoły rzemieślnicze w Petrozawodsku, Złatouście, Pawłowie i Klińcach. W ciągu zaś czterech, pięciu lat mają powstać szkoły różnych typów: w Niższym Nowogrodzie, Mińsku, Mohylowie i innych miastach. Ze wszystkich tych miejscowości nadesłano już deklaracye, w których obywatele zobowiązują się składać ofiary. Na koszty wykształcenia personelu nauczycielskiego ministeryum oświaty ma do rozporządzenia około 10,000 rs. rocznie, kandydaci zaś do objęcia przyszłych posad kształcą się w fabrykach i zakładach specyalnych. Nadto, do udziału w pracach około przygotowania podręczników i innych środków pomocy naukowej, zaproszono wielu nauczycieli wyższych i średnich zakładów naukowych tudzież dyrektorów istniejących już szkół przemysłowych. Obecnie pod opieką ministeryum oświaty istnieją następujące zakłady specyalne: instytuty technologiczne: petersburski i charkowski, szkoła techniczna w Moskwie, Instytut agronomiczny w Nowej Aleksandryi i politechnika w Rydze; 2 szkoły handlowe, 7 średnich szkół technicznych, 30 rzemieślniczych z kursem szkół powiatowych, około 60 rzemieślniczych z kursem szkół początkowych, 19 szkół Cesarskiego Towarzystwa technicznego, 12 — dla robotników fabrycznych i 22 szkoły marynarki. Ogółem około 160 szkół fachowych. Na ludność przeszło stumilionową i wobec wielkiego rozrostu pracy przemysłowo-technicznej, jest to cyfra niezmiernie skromna. To też dla ogółu nie będą obojętne dane o ruchu w zakresie szkół specyalnych.

Dr.

DLA WZMOCNIENIA BEZPIECZEŃSTWA.

Artykuł nasz p. t. „Kto winien?“ (nr. 41 *Prawdy*) wywołał kilka uwag i zarzutów, wypowiedzianych w *Gazecie polskiej* przez Byłego Ko-

lejarza. Autor głównie zwrócił uwagę na myśl zniesienia „wiorstowego“ maszynistów i wskazał osobne prerogatywy kasy emerytalnej (czas pełnej służby maszynistów i konduktorów skrócony o lat pięć w stosunku do innych pracowników). „Któż zdoła zaręczyć, że w razie wstąpienia na drogę reform, przy obecnem zniżkowem na pracę ludzką usposobieniu wogóle, te prerogatywy w emeryturze nie zostaną uznane za dostateczne, przy istniejącej pensyi, wynagrodzenie ciężkiej pracy maszynistów i konduktorów“? Były Kolejarz ma racyę! Przy ciągłej grze na zniżkę wartości pracy, można przypuścić nawet bez wpływu naszego projektu — zniesienia wiorstowego — dalsze ograniczenia płacy w niektórych przedsiębiorstwach kolejowych. Żądania atoli nasze były wypowiedziane jasno: „Maszynista powinien być *bardzo* dobrze uposażony *bez* osobnego dodatku t. zw. wiorstowych, które są tylko pokusą do pracy nad siły; z powodu zajęcia, zbyt szybko niszczącego zdrowie, powinien on krócej pracować i w znacznie mniejszym okresie niż dzisiaj dosługiwać się emerytury.“ W takim więc tylko razie uważamy zniesienie wiorstowego za właściwe, jeżeli wzamian będzie dane *stałe* wynagrodzenie w stosunku do owych dodatków, służących dziś bodźcem do wyścigów służby pociągowej i jeżeli okres wysłużenia emerytury więcej będzie skrócony; pięć lat — to jeszcze nie wiele. „Maszynista, którym zostać może prosty czeladnik ślusarski — powiada autor w *Gaz. pols.* (choć przybywa i tu coraz więcej ludzi ze średniem wykształceniem) zarabia miesięcznie do stupięćdziesięciu rubli; nadkonduktor, na którą to posadę dość jest umieć czytać i pisać — sto dwadzieścia i sto trzydzieści. W razie połączenia sum pensyi i wiorstowego w jedną pozycyę etatową, pokaże się, że ci ludzie są wynagradzani wyżej niż wielu inżenierów, techników, osób posiadających wykształcenie uniwersyteckie, a pracujących na tejże kolei przy innych oddziałach.“ Przedewszystkiem — dziś czeladnik ślusarski nie może zostać maszynistą; musi on najpierw skończyć szkołę techniczną. Że zaś w służbie pociągowej pracownicy o elementarnem wykształceniu pobierają wyższą płacę niż ludzie z wiedzą uniwersytecką, okoliczność ta nie może być przeszkodą do reform. My przecież nie zalecamy swego projektu do zaszczepienia na gruncie obecnych warunków sprzedaży i kupna pracy. Byłoby to wstawienie do koła jednej tylko szprychy, dwa razy dłuższej od innych. Położyliśmy nacisk wogóle na konieczność zmian w gospodarce kolejowej tak, iżby praca nad siły była usunięta a wynagrodzenie odpowiadało potrzebom pracownika i w tem właśnie widzimy prawdziwą *oszczędność* tudzież zapewnienie bezpieczeństwa publicznego. Prawda, iż wszelkie nierówności w wynagrodzeniu pracy są dziś na porządku dziennym; że ocena nie zawsze się odbywa w stosunku do uzdolnień oraz kosztów i sił, zużytych na przyswojenie pewnej sumy wiedzy. Ale się nie możemy zgodzić ze zbyt stanowczem twierdzeniem B. Kolejarza, że inżenierowie i technicy z wyższem wykształceniem wogóle są skromniej wynagradzani niż maszyniści lub nadkonduktorzy. Przeciwnie — znaczna ich liczba zajmuje wybitne, dobrze płatne stanowiska, nie wymagające wysiłku pracy. Podział zaś gratyfikacyi, wzrastający w prostym stosunku do wysokości pensyi, świadczy, że na wielu kolejach panuje system smarowania tłustych połciów. Zwróćmy jeszcze na to uwagę, że istnieją liczne szczeble, które każdy pracownik przebyć musi. Podczas gdy inżenier ma ich przed sobą nieskończoną liczbę i marzyć może nawet o dyrektorstwie w jakimś wydziale, maszynista ze swego parowozu wyżej już nie sięgnie; chyba gdy go wzniesie kocioł rozsadzony lub wykolejenie. Wobec tego liczba ludzi o szerszej wiedzy, niżej wynagradzanych niż służba pociągowa, jest stosunkowo niewielka.

Pozwolimy wreszcie zwrócić uwagę B. Kolejarza na następujące świeże rozporządzenie: ‚Upoważniono dyrektorów do powiększenia *normalnej* ilości godzin pracy służby pociągowej, w miarę potrzeby. Zastrzeżono jednak, aby średni odpoczynek w ciągu dziesięciu dni nie był mniejszy niż dziewięć godzin na dobę a nadto, aby maszynista, prowadzący pociąg nie był dłużej nad *ośmnaście* godzin *bez przerwy* na parowozie. Czy więc ośmnaście godzin ciągłego czuwania, wymagającego natężenia uwagi i wzroku, pomimo wichru, słoty i mroków nocnych, jest normą nieuciążliwą, gwarantującą zachowanie sił maszynisty i bezpieczeństwa publicznego?..

Skoro w związku z wynagradzaniem i przeciążeniem pracowników kolejowych poruszyliśmy sprawę bezpieczeństwa publicznego, musimy jeszcze zaznaczyć świeże acz słabe przebłyski postępu w tej mierze. Na zasadzie rozporządzenia departamentu kolejowego, dyżury zwrotniczych, ustawiaczy pociągów i spinaczy wagonów na niektórych stacyach kolejowych, powinny być urządzone na trzy zmiany. Do tej kategoryi większych stacyi na kolei Nadwiślańskiej zaliczono: Mławę, Pragę, Warszawę — nadwiślańską, Warszawę — obwodową, Iwangród, Lublin i Kowel, gdzie personel zwrotniczych, ustawiaczy i spinaczy z początkiem roku przyszłego będzie zwiększony o stu jedenatu. Mianowicie 60-ciu zwrotniczych (z pensyą roczną, ogólną rs. 11,520), 24 ustawiaczy pociągów (rs. 8,680) i 27 spinaczy (6,486 rs.). W budżet wydatków nie wchodzi fundusz na komorne i umundurowanie. Jeżeli sobie przypomnimy, to najwięcej właśnie wypadków zarówno ze służbą, jak i publicznością, było dotąd na powyższych stacyach, wielce ruchliwych, posiadających masę zwrotnic i linij. Ostatnie zatem rozporządzenie witamy z prawdziwem uznaniem. Zasługuje na uwagę inny jeszcze szczegół: Z polecenia władzy komunikacyjnej, służba drogowa na wszystkich kolejach będzie zreformowana w ten sposób, ażeby naczelnicy dystansów i ich pomocnicy nie mieszkali w jednem miejscu, lecz na krańcach lub w połowie swego dystansu. Dozorcy drogowi otrzymać mają pomocników, przy czem wszyscy obowiązani będą umieć telegrafować, tak, iżby w razie potrzeby za pomocą aparatów, umieszczonych w budkach dróżniczych, mogli się porozumiewać z najbliższą stacyą. W końcu nieobojętną dla ogółu będzie wiadomość, iż departament kolejowy wydał okólnik do wszystkich zarządów kolei prywatnych i skarbowych, zalecający umieszczanie zwierciadeł na parowozach pociągów osobowych w ten sposób, iżby maszynista, nie oglądając się po za siebie, mógł widzieć co się tam dzieje. Miejmy nadzieję, że powyższe środki są zapowiedzią szerszych reform, mających na względzie bezpieczeństwo publiczne i zarazem — warunki pracy wielkich rzesz ludzi, obsługujących przedsiębiorstwa kolejowe.

Zen. Piet.

LIBERUM VETO.

Przysłowie starego dziadka. — Zmowy przeciw spożywcom. — Konwencye przemysłowe. — Zagranica pomagająca nam utrzymywać drożyznę produktów. — Potrzeba gruntownego rozjaśnienia tajemnicy. — Dalsze losy „Jakóba Warki.“ — Kilka słów o tym dramacie, pogrzebanym bez honorów. — Nowa moja godność. — Szczególna akademia i szczególny jej komitet.

Wesoły dziadek jednego z moich znajomych, ile razy usłyszał w rozmowie wyrazy: „nie można“ lub „nie wolno“ — zawsze wtrącał: „jak komu.“ Czasem były to jedyne jego słowa, a że je powtarzał ustawicznie, stał się wprost nieznośnym. Bo wyobraź sobie, czytelniku, iż prowadząc z kimś rozprawę naukową, mówisz: „żelaza z platyną nie można połączyć...“ albo „kotła parowego nie można pozostawiać bez dozoru...“ „Jak komu“ — bąka staruszek a uśmiecha się przytem tak dobrotliwie, że niepodobna mu odrzec: „przestań pan już raz wkręcać tę swoją szrubkę.“ Gdy wszakże raz ktoś niecierpliwszy, dowodząc, że nie wolno czynić zmowy na szkodę spożywców, oburknął się na dziadka za owo: „jak komu,“ ten ostatni odparł nieśmiało: „a cukrownicy?“ Był to argument, którego przeciwnik nie spodziewał się i który go mocno zakłopotał. Bo rzeczywiście t. zw. konwencya, jaką cukrownicy zawarli między sobą, zobowiązując się wzajem do wywożenia za granicę całej ilości produktu, przekraczającej pewną określoną normę, dla podtrzymania jego wysokich cen wewnątrz państwa, jest zmową tolerowaną. Ostatecznie dziadzio miał słuszność, o czem nieraz przekonywały niewiernych rozmaite „kartele,“ czyli uprawnione sprzysiężenia wytwórców przeciwko spożywcom, a nawet wiele, bardzo wiele innych grzechów, zamienionych na cnoty.

Zmowy te stały się dziś ulubionym środkiem producentów w ubezpieczaniu swych zysków. Ze wszystkich bowiem dróg w tym kierunku są one najkrótsze i najpewniejsze. Przypuśćmy, że cukrownik chce mieć czystego dochodu 10,000 rs. Sumę tę może on osiągnąć albo sprzedawszy 100,000 pudów cukru po niskiej cenie, albo 10,000 po wysokiej. Ponieważ zaś rynki stawiają mu ograniczone żądania skutkiem ograniczonego popytu, więc dla zdobycia owego zysku musi on albo rozszerzyć zakres zbytu, albo unikać nadprodukcyi. Innemi słowy: musi albo bardziej rozpowszechnić śród ludzi konsumcyę cukru — i sprzedawać go w masach tanio, albo utrzymać jego wyrób w takiej normie, jaką przeciętnie wskazuje zapotrzebowanie — i sprzedawać go drogo. Pierwsza droga byłaby prostsza, ale trudniejsza i zawodna, druga jest kręta, ale łatwa i pewna. Cukrownicy umawiają się, że dostarczą na rynek tyle a tyle towaru, ażeby zaś zapobiedz przeładowaniu i spadkowi cen, nadmiar wywiozą za granicę.

Tego wypróbowanego środka chwyciło się również kulejące od urodzenia Towarzystwo oczyszczania i wywozu spirytusu: wyprawia ono za granicę i sprzedaje tam *ze stratą* swój produkt, aby tylko jego cenę w kraju utrzymać na pożądanym, tj. wysokim poziomie. Zagranica tedy otrzymuje dwa tak ważne artykuły, jak wódkę i cukier tanio, ażebyśmy za nie płacili drogo. Brzmi to jak bajka, a jednak jest prawdą. Dosyć już na ten temat wygłoszono kazań, które nikogo nie skruszyły i nie nawróciły, więc dajmy pokój morałom i zastanówmy się jedynie nad kwestyą, czy powyższa operacya jest ogólną właściwością przemysłu i odbywa się we wszystkich krajach, czy też stanowi nasz wynalazek własny? Bo być może, że ona jest tylko pojedynczą falą olbrzymiej rzeki handlu, przepływającej świat cały: może my obdzieramy swoich i obdarowywamy cukrem i wódką cudzoziemców, oni zaś obdzierają siebie i obdarzają nas innymi produktami, wynagradzając nam straty wzajemną ofiarą. Nie śmiem twierdzić stanowczo, że tak się nie dzieje gdziekolwiek, ale to wydaje mi się pewnem, że na nasz benefis żaden kraj nie wywozi swoich wytworów. Nie słyszałem, ażeby niemcy, francuzi, anglicy lub austryacy również uwalniali swoje rynki od nadmiaru i regulowali ceny w ten sposób, jak my to czynimy z cukrem i spirytusem. Przyzna każdy, bo nawet może sami cukrownicy i gorzelnicy, że w fakcie tego sztucznego podtrzymywania drożyzny wewnątrz kraju przez wyrzucanie

produktów za granicę tkwi potworność moralna, obrażająca sumienie społeczne. Ale jeżeli już koniecznie mamy ją znosić, nie znośmy przynajmniej z zamkniętemi oczami i z zupełną nieznajomością rzeczy. W ostatnich czasach pojawiło się kilka prac gruntownych (np. Suligowskiego), doskonale oświetlających rozmaite sprawy ekonomiczne; dlaczegóż nie znajdzie się pisarz, któryby zbadał i bezstronnie przedstawił kwestyę podnoszenia cen zapomocą wywozu? Sądzę, że taka praca byłaby ważniejsza, a nawet ciekawsza, niż studyum o czarnych charakterach na scenie.

Dziwni z nas ludzie! Mamy drogi cukier, drogie owoce, drogie książki, drogie dzienniki dlatego, że drobna stosunkowo część społeczeństwa spożywa cukier, owoce, książki i dzienniki. Zamiast starać się o pomnożenie liczby konsumentów, a przez to o zniżenie ceny produktów, wolimy obdzierać ową małą gromadkę, niż ciągnąć zyski z mas. Wszedł na tę drogę cukier, weszła wódka, kto wie, czy na nią nie wejdą inne artykuły? Dlaczegóżbyśmy nie mieli np. sprzedawać na wywóz naszej pszenicy niżej kosztu, albo poprostu jej palić dla utrzymania wysokich cen? Dlaczego nie mielibyśmy wydawać książek w kilkuset egzemplarzach po 10 lub 20 rs.? Są tacy, którzy zawsze kupią i zysk zapewnią.

Tak czasem wygląda „gospodarstwo społeczne“ i „rozwój przemysłu krajowego.“

Niektórzy sprawozdawcy teatralni i sędziowie świeżo przedstawionego dramatu „Jakób Warka“ dali do zrozumienia, że jego autor mógłby spełnić owo zadanie i napisać dobrą rozprawę ekonomiczno-finansową. Według nich bowiem tak daleko dowiódł on potrzebnej ku temu zdolności w owej sztuce, że ona aż wywarła na słuchaczach wpływ maku. „Jakób Warka“ został odznaczony na konkursie *Kuryera warszawskiego* i aż do pierwszego przedstawienia widocznie zajmował uwagę prasy, jako utwór szczególnej wartości, skoro ona donosiła nawet o wyprawie autora z aktorem do Tworek dla studyowania objawów obłędu, któremu ulega jeden z bohaterów dramatu. Po tem wszystkiem wyobrażałem sobie, że czemkolwiek jest „Jakób Warka,“ będzie uznany przez większość krytyków co najmniej za jeden z owych utworów wysokiej rangi literackiej, które nawet po śmierci scenicznej grzebane bywają przy biciu z dział i innych zaszczytach. Tymczasem wbrew tej nadziei wrzucono go do wspólnego dołu biedaków i odmówiono nawet zwykłej mowy nadgrobnej, sławiącej cnoty nieboszczyka. Niejeden zapewne z czytelników doświadczył tego, że przestudyowawszy kilka recenzyj warszawskich, nie mógł absolutnie odgadnąć — już nie wartości, ale po prostu natury ich przedmiotu. Co do mnie, znajduję się w tem komicznem położeniu bardzo często. Przeczytam dwa, trzy, cztery sprawozdania z jakiejś opery lub komedyi i nic o nich nie wiem. Krytyk np. rzuca takie frazesy: „zwolennicy melodyi tym razem nie będą się uskarżali na niedostatek; kompozytor wylewa potoki śpiewu, jak gdyby jego operę usnuł słowik ze swych cudnych trelów.“ Tak zachęcony idziesz do teatru i znajdujesz kilka motywów, rozciągniętych hakami Wagnera, wszystkie sztuki i koncepty kontrapunktu lub harmonii i ani śladu „słowiczych trelów.“ Dawno już stało się to dla nas jasnem, że polacy a w każdym razie warszawianie nie posiadają talentu do ścisłej charakterystyki i obrazowania przedmiotowego. Jeżeli który z nich streści czyjąś mowę, to z pewnością w tem streszczeniu będzie mnóstwo pochwał lub nagan, reklamy lub zniesławienia, pochlebstw lub przygryzków, dowcipów lub przeczeń, a najmniej myśli mówcy. Zamiast pisać o kimś, piszemy z powodu kogoś. Ten subjektywizm dochodzi nieraz do tak wielkich rozmiarów, że odfotografowawszy małpę, dajemy wizerunek muzy — lub naodwrót.

Pamiętając ciągle o tem i chcąc mieć wyobrażenie o „Jakóbie Warce,“ trzeba go samemu przeczytać i widzieć na scenie. Przeczytać, chociaż można widzieć? Tak. Wszystkie dowodzenia pisarzów teatralnych, wszystkie ich tryumfy, wszystkie odpusty grzechów, udzielane autorom scenicznych arcydzieł, będących głupstwami literackiemi, nie uleczyły mnie z tego przesądu, że rozstrzygający głos o wartości artystycznej komedyi i dramatu daje krytyka literacka, a nie aktorska. Utwór, którego się nie czyta, tylko ogląda, który staje się czemś dopiero w grze aktorskiej, jest takim śmieciem literatury, jak zwyczajne libretto. Otóż „Jakób Warka“ jest niewątpliwie czemś lepszem, niż librettem aktorskiem. Autor na zgniłe tło szacherek finansowych rzucił obraz miłości dwojga ludzi, których ostatecznie zgniatają kręcące się przeciw sobie walce twardych i niemiłosiernych egoizmów. Stary Warka, utuczony cudzą krzywdą spekulant, ma syna kochającego córkę jego ofiary; swym oporem i łotrowstwem doprowadza on go do obłędu i samobójstwa. Jednocześnie zaś wpada w dół, wykopany pod jego nogami przez syna drugiego nieszczęśliwca, którego także zrujnował.

Czego nas ta opowieść uczy? Tego, o czem wszyscy dawno wiemy, mianowicie, że w morzu złota pływają rekiny, które pożerają mniejsze i słabsze ryby a w potrzebie karmią się również mięsem serc ludzkich. Ale poeta nie jest ani urzędowym nauczycielem, ani nawet korepetytorem społeczeństwa i musi powtarzać stare lekcye życia, aby je tylko wykładał z nowym talentem. Jeżeli usłyszymy, że on obrał sobie za przedmiot odmalowanie walki psa z kotem lub kota z myszą, niech nas to źle przeciw niemu nie uprzedza; z takiej walki dziś jeszcze a nawet za 1000 lat można stworzyć arcydzieło. Że więc p. Zgliński w epoce pogoni za świeżymi tematami wybrał sobie zleżały, bez zaprzeczenia obraził tem modę, ale bynajmniej nie obraził sztuki: zając jest starszy, niż giełdziarz, a jednakże go jeszcze dziś malują. Nie chodzi o glinę lub marmur, ale o ich formę artystyczną. Pod tym względem „Jakób Warka“ ma wiele słabizn: postacie są w wielu punktach chropowate i niewyrzeźbione umiejętnie, ich stosunki, powikłane dość bezładnie, ciągle się rwą i nawiązują, a stąd cała osnowa posiada za wiele supłów; w akcyi siła nie stopniuje się należycie, lecz objawia drobnymi wybuchami. Mimo to wszakże są w tej pracy ustępy, zdania, uwagi, rysy i całe sceny, które mogły się zrodzić tylko w łonie talentu. Może autor, chcąc wydążyć na konkurs, nie miał dość czasu na opracowanie szczegółów według rady Horacyusza? Bądź co bądź, nie wystawił on — jak by można było wnosić z lekceważących sądów — na bazarze literackim roboty rzemieślniczej, wykonanej na obstalunek słabemi siłami, lecz dał utwór, który i żyje krwią serca, i barwi się kolorami wyobraźni, i płonie ogniem talentu. A gdyby nawet tych wszystkich pierwiastków nie było wiele, to najmniejsza ich ilość nakazuje szacunek.

Przed rozstaniem się muszę uprzedzić czytelników, że od dnia dzisiejszego obowiązani są widzieć we mnie dostojnika. „Académie artistique, scientifique et littéraire du Hainaut“ (Belgia) przysłała mi nominacyę na członka, z którą połączony jest „medal pierwszej klasy“ i „wielki dyplom honorowy.“ Zaszczyty te otrzymałem na przedstawienie jakiegoś „generała ruskiego“ a mam za nie zapłacić tylko 25 fr. Taniej dostać można tylko „kadryla“, wyrabianego w wędlarniach dla psów. Jeżeli jakaś szajka hiszpańska wciąga u nas nadzieją spadku naiwnych w swój zbójecki potrzask, w którym ich podobno dusi, to trzeba przyznać, że owa Akademia, która zapewne takich nominacyj i dyplomów przysłała do Warszawy więcej, zastawia na głupotę ludzką stosunkowo niewinne sidła. Jej operacye uznalibyśmy nawet za zupełnie zgodne z duchem czasu, gdyby nie to, że w „Bulletin officiel“ między członkami komitetu honorowego podaje takie nazwiska, jak: Sully-Proudhome, Massenet, Franciszek Coppée, A. Dumas itp. Cóż to znowu znaczy?

Poseł Prawdy.

SPRAWY EKONOMICZNE

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

Węgiel. Z nastaniem chłodów ludność uboga zaczyna dotkliwie odczuwać dreszcz na skórze, lecz i znaczny ubytek w kieszeniach. Składnicy węgla kamiennego w sprzedaży detalicznej, podtrzymywanej przez spożywców niezamożnych, podnieśli ceny do 17—$17\frac{1}{2}$ k. Skutkiem braku odpowiedniej liczby wagonów na kolei Wiedeńskiej, ceny węgla podniosły się ogromnie, do stu rubli za wagon. Jak wiadomo, zwyżka taka objawiła się w styczniu r. b. z tych samych co i obecnie przyczyn. Zarząd kolei wynajął wówczas za granicą kilkaset węglarek i skrócił termin wyładowywania w Warszawie z 24 na 12 godzin. Dzięki temu, zniżka nastąpiła szybko, kolej zaś wiele zyskała na ożywieniu ruchu towarowego. Pomimo tak widocznych korzyści dla przedsiębiorstwa komunikacyjnego, toleruje ono stale błąd dawny. ociąga się z wprowadzeniem środków zwiększających siłę przewozową. O ile wiemy, kolej Wiedeńska jest tak zasobna, że mogłaby się zaopatrzyć w taką liczbę wagonów własnych, jakaby w zupełności odpowiadała przewozowi, tem bardziej, że linia ta głównie się opiera na największych ogniskach przemysłowych kraju. Jej więc obowiązkiem i interesem powinno być zadośćuczynienie istotnym potrzebom. Od lat kilku słyszymy narzekanie na słabość sił przewozowych tej drogi, na zjeździe zaś górniczym w Warszawie zaznaczono ubóstwo w tym względzie, które naraża nietylko wytwórców węgla na stratę, ale przyczynia się wogóle do zwężenia wielu ogniw życia ekonomicznego. P. Łubieński twierdził na owym zjeździe, że gdyby dostawę nagromadzonych zapasów węgla dało się rozłożyć nie na pięć, lecz na siedem lub osiem miesięcy, koleje nie miałyby potrzeby forsownie i pośpiesznie zwiększać liczby węglarek. Należałoby rozwozić zapasy na zimę już od lipca lub sierpnia, wyjednać zniżenie stawki taryfowej na dwa albo trzy miesiące przed jesienią. Przedsiębiorcy pokryliby w ten sposób straty, pochodzące z kruszenia się węgla, dzierżawy placów i wielu innych przyczyn; nie mieliby więc wyraźnych powodów do podnoszenia cen. Na te wnioski koleje żelazne nie zwróciły najmniejszej uwagi i nie poczyniły żadnych starań, dowodem czego jest obecnie znowu to samo stale powtarzające się zjawisko: brak węglarek. Na zjeździe proponowano jeszcze, ażeby właściciele kopalń zdobyli się na pewną liczbę własnych wagonów; i ci zapomnieli o pożytecznej radzie. Pamiętamy, że pod wpływem powyższych zarzutów p. Rydzewski zapewnił przedstawicieli zjazdu, iż tabor węglarek będzie znacznie zwiększony na kolei Wiedeńskiej, tak iżby można było wysyłać dziennie po 730 wagonów naładowanych. Niewątpliwie te zapewnienia ziszczą się kiedyś; ale dziś o tem wcale jeszcze nie słychać.

Herbata ceylońska. Prof. uniwersytetu noworuskiego (w Odesie) na katedrze botaniki, p. Kamieński, zwiedził na Ceylonie plantacye herbaty i zbadał je dokładnie. Zdaniem jego, kupcy ruscy bezzasadnie unikają nabywania owego produktu, który jest aromatyczniejszy i tańszy od chińskiego. Niektórzy, przekonani powyższemi dowodzeniami, wysłali swych agentów na miejsce dla zamówienia próbnych partyj herbaty.

Wynalazek. Na posiedzeniu francuskiej Akademii nauk Cornu przedstawił odkrycie Hardy'ego, niezmiernie ważne dla górnictwa. Jest to przyrząd, który umożliwia rozpoznawanie zmian w składzie powietrza za pomocą tonów muzycznych, wydawanych przez rury, temże powietrzem napełnionych. Przyrząd, zwany grisoumètre, będzie podobno tak czuły, że wykaże $^1/_{100}$ gazu obcego. Jeżeli ten wynazek nie jest przeceniony, będzie on zapobiegać katastrofom, wynikającym z wybuchów gazu.

— Według *Wiest. finans.*, ogółem do 4 b. m. z banku państwa tudzież instytucyi kredytowych prywatnych wydano na zastaw zboża 9,200,000 rs. Operacye prowadzono głównie w miastach portowych.

— Według zapewnień *Kuryera warsz.*, popyt na szczotki, wyrabiane przez wychowańców warszawskiego Instytutu głuchoniemych i ociemniałych jest tak wielki, iż pomimo podwójnej działalności, warsztaty nie mogą zadość uczynić wszystkim zamówieniom z miasta i prowincyi.

— W Warszawie otworzono sezonowe składy zwierzyny, należące przeważnie do ziemian, pod dozorem ich służby. Zające nadchodzą do tych sklepów z pow. włodawskiego i bialskiego gub. siedleckiej, ptactwo zaś i zwierzyna grubsza (sarny i dziki) z gub. mińskiej.

— Warszawska fabryka wagonów (przy zakładzie firmy Lilpop, Rau i sp.) otrzymała zamówienie na dostawę 1000 wagonów dla kol. Władykaukazkiej. Z tego powodu zakłady są czynne dniem i nocą.

— Ministeryum skarbu wyjaśniło, że zaliczenia na zboże mogą być wydawane wyłącznie na zastaw czterech gatunków ziarna: pszenicy, żyta, owsa i jęczmienia.

— Powstało Towarzystwo akcyjne rusko-belgijskie dla wybudowania wielkiej cukrowni w Persyi. (*Birż. Wiedom.*).

— Ministeryum skarbu zwróciło się do rządu hiszpańskiego z propozycyą nadania ruskiemu spirytusowi oczyszczonemu tych samych ulg, z jakich korzysta na rynkach tamtejszych spirytus niemiecki.

O PRAWDĘ.

Odpowiedź p. Czernemu (z powodu drugiego wydania „Geografii rozumowej").

(Dokończenie).

2) *Zarzuty 2-ej kategoryi* są nieliczne i na te (z wyjątkiem może przeniesienia jarmarku z Ostrownego) zgodzić się nie mogę, a to także „bez ogródki." P. Cz. stawia mi zarzut, że z powodu figur i mapek nie zasługuję na żadną pochwałę, „ponieważ w podręcznikach niemieckich znaleźć je mogłem wszystkie (sic!) gotowe." Naprzód o pochwały wogóle, a od p. Czernego w szczególe najmniej mi chodzi; powtóre zarzut ten zdradza jakąś doprawdy politowania godną niechęć recenzenta: przecież takich obrazów, jak np. widoki Nilu itp., nie mogłem i nie potrzebowałem rysować z natury i wziąłem je naturalnie stąd, skąd biorą wszystkie podręczniki, tj. z atlasu Hirta; co zaś do figur geometrycznych, to o tyle są one naśladownictwem niemieckich, o ile np. kuli nie mogłem wyrysować oryginalnie, tj. w innym kształcie (np. kanciastym), niż ją rysują niemcy. Jeżeli jednak „wszystkie" figury moje znajdzie p. C. w jakichkolwiek podręcznikach, to przyznam mu „na pochwałę," że jest krytykiem sumiennym.

Dalej powiada p. C., że ja o wymieraniu indyan amerykańskich twierdzę błędnie, gdyż liczba ich się zwiększa; tymczasem p. C. mógłby się łatwo poinformować w licznych poważnych źródłach, że on, a nie ja, jest w błędzie; niech zajrzy np. do „Revue d'Anthropologie," 1887, II, s. 44 (lub do referatu o tem w Pet. Mitt., 1888, II, s. 20), do „Zeitschr. für Ethnologie," 1887, do dzieła „La France Equinoziale" itd., gdzie mowa o wymieraniu indyan Venezueli, Guyany, Brazylii. Do „Auslandu," 1888, nr. 8 (Nordamerikanische Probleme), gdzie mowa, że „die Lösung der Frage gleichbedeutend mit der Ausrottung der Rasse ist." Jeżeli nie logika procesu zetknięcia się pierwotności z kulturą, obowiązująca każdego etnologa, to przynajmniej daty podawane przez pisma specyalne powinny były obowiązywać p. Czernego. Wreszcie niech sobie raczy przeczytać, co o tem sądzi w późniejszem dziele Ratzel (Anthropogeographie, II, 1891, s. 336—339): szczegółowe daty doprowadzają tego etnologa do twierdzenia: „Das Erlöschen der letzten Familie eines Guaranistammes wie es Dobrizhoffer beschrieben, ist eine Thatsache von *allgemeinem* Werte." Jeżeli nawet tu i owdzie jakieś plemię zdolniejsze przez przyjęcie sposobu życia białych uchroni się od wymarcia fizycznego, to nie uniknie za to wymarcia psychicznego, tj. wynarodowienia.

Wytłomaczenie genezy monoteizmu jest u mnie według p. C. „naiwne"; wytłomaczenie to pochodzi jednak od Peschla i zostało powtórzone w najnowszem opracowaniu jego „Etnologii" przez znakomitego geografa Kirchhoffa. Może to więc być „naiwne" tylko dla geografa szkoły krakowskiej; my jednak poczytujemy to sobie za zasługę, iż ani geograficznie, ani logicznie (badanie niezbadanego, tj. niezbadalnego!) do szkoły tej nie należymy, albowiem przeszliśmy już po za epokę wieków średnich.

Pan C. zarzuca mi, że o stepach i pustyniach jako o pewnych typach krajobrazowych mówiłem przy ukształtowaniu powierzchni a nie przy klimacie wyłącznie. Gdyby jednak krakowski profesor zamiast się zajmować „zbadaniem niezbadanego," śledził lepiej za rozwojem geograficznej wiedzy, toby wiedział, że znakomity klimatolog Wojejkow (Klimaty zemnago Szara, s. 306) dowiódł, iż stepy nie zawsze są wyrazem klimatu, że często mimo dostatecznych warunków klimatycznych istnieje naturalna bezleśność.

Dalej nie podoba się p. C., że za główną przyczynę prądów morskich uznaję wiatry: p. C. pisząc recenzyę, pozostawał jeszcze w tyle za rozwojem wiedzy i dopiero później poinformował się lepiej, gdyż sam w „Geografii handlu," zapomniawszy o swym zarzucie, stanął na tem samem stanowisku, co ja!

Ponieważ w przedmowie powiedziałem, że autor nie mógł, jak inni, po napisaniu odczytać całego rękopisu i poczynić w nim niektórych „przemieszczeń," więc p. C. kontent podchwytuje to i twierdzi, że klasyfikacya lodów powinna była być zrobiona wcześniej, niż na str. 77, 78, tj. wcześniej, niż klasyfikacya oceanów; otóż ta chętka łatwego łowienia błędów tak uniosła szan. profesora, iż nie zauważył, że klasyfikując lody, mówiąc o zamarzaniu, musiałbym powiedzieć, na jakich oceanach spotykamy zjawiska lodowe, a oceany te przed ich klasyfikacyą są uczniowi nieznane. Ponieważ zaś przy klasyfikacyi oceanów lody potrzebne mi były tylko jako zapora żeglugi, mogłem więc tymczasowo nie uwzględniać ich klasyfikacyi, a wszakże ogólne pojęcie lodu jest dość znane?

„Tem mniej można autorowi darować — woła „najsurowszy" a sumienny krytyk — takie niefortunne i w zasadzie błędne porównania, jak np. ruchu obiegowego ziemi z procą." Nie, szanowny panie, porównanie to jest i fortunne i w zasadzie niebłędne. Albowiem 1) „w zasadzie błędnem" nie jest, ponieważ jak ziemia, tak i proca poruszają się pod wpływem dwóch *jednakich* sił: siły rzutu i siły przyciągania; w *obu* więc razach jest to t. zw. *ruch centralny*. 2) Prównanie moje nie jest „niefortunne," to znaczy nie jest niepraktyczne w metodzie nauczania, ponieważ mimośród drogi ziemskiej jest tak mały, że największe nawet rysunkowe przedstawienie drogi ziemskiej nie da się na oko odróżnić od okręgu koła: jeżeli mianowicie nakreślimy koło o promieniu nawet 1 m., to elipsa drogi ziemskiej w punktach największego odchylenia od okręgu koła, tj. na końcach osi małej, oddali się od niego tylko na $^1/_7$ mm., czego oko nie jest w stanie zauważyć. Dla rysunkowego więc przedstawienia drogi ziemskiej można zawsze śmiało nakreślić koło (ob. Martus Astronomische Geographie, s. 218). Nawet w obliczeniach astronomicznych, np. obliczeniu siły ciężkości na słońcu, dostatecznem jest uważanie drogi ziemskiej za kołową; może się o tem pouczyć p. C. w meteorologii Sprunga (s. 6, 7), którą pragnąłbym szan. profesorowi jako platonicznemu zwolennikowi i amatorowi matematyki, jaknajgorręcej polecić.

Wyznaczenie granicy Sahary za pomocą granicy pchły uważa p. C. za „śmieszne." Dziwna rzecz, iż „prof. uniw. Jagiel." nie jest na tyle poważny, aby rozumieć, że naukowe prawa są równie godne zastanowienia, czy odnoszą się do pchły, czy do słonia; powtóre, iż nie jest na tyle w geografii oczytany, aby wiedzieć, iż określenie to nie pochodzi ode mnie, lecz od jednego z najznakomitszych znawców Sahary — Rohlfsa (no ale p. C. „zanadto ceni czas").

Przy końcu tych zarzutów naukowych muszę zwrócić uwagę na dziwny objaw u p. C., mianowicie, że w krytyce stawia się tak wysoko, iż nie uznaje za potrzebne cytować źródeł (na poparcie faktów), podczas gdy pisząc kompilacye, jest tak zamiłowany w cytatach, że gdy stawia twierdzenie typu: „dwa a dwa jest cztery," to gotów na swe usprawiedliwienie zacytować Newtona (nie jest to bynajmniej przesada z mej strony, gdyż p. C. twierdząc np., że przewiew wpływa na ulatnianie, cytuje na poparcie Mohna!).

3) *Co do zarzutów językowych*, to wstręt p. C. do takich wyrazów, jak „kipi przemysłem," „bystry rozwój" itp. tłomaczę sobie galicyjskiem miejscem pobytu p. Czernego. Wstręt do „kredy piszącej" tłomaczę sobie tem, że p. C. „zbyt ceni czas," aby wiedzieć, że sam wyraz „kreda" nie określa ściśle rzeczy, gdyż może oznaczać tak wapień, piasek, margiel itd., jak i kredę piszącą. Co do „diun," to te są przyjęte we wszystkich językach. P. Cz. poprawiając mnie jakoby, twierdzi, że doliny nie „stanowią dróg," lecz „torują"; szan. profesor nie zdaje się tego rozumieć, że „torować" oznacza *czynność* i że doliny nie są istotami czynnemi.

Ale zresztą po co mam sobie zadawać trud polemizowania z p. C., ja także „cenię czas," a czyż można brać poważnie językowe zarzuty p. Czernego, który w swych pismach używa takich gramatyczno-retorycznych kwiatów, jak „pojedyńczszy" (stopień wyższy od „pojedyńczy" w znaczeniu galicyjskiem, tj. „prosty"), „suższy" (stopień wyższy od suchy) itd., a takich wyrażeń, jak „illuzoryczny," „abstrachując," „problem." „respective" itd., to już nie liczę. Jednem słowem, „profesor uniw. Jagiel." a mój „najsurowszy" mentor nietylko na punkcie geografii, ale i języka polskiego, używa bardzo *czystego* austro-galicyjskiego żargonu i chce mi go narzucić jako język literacki. Niech mi p. C. raczy łaskawie wybaczyć, ale wolę pozostać przy swoim języku i stylu, niż naśladować krakowskiego profesora.

Co do mentorskiego *tonu* p. C., co do jego „zbytniego cenienia czasu," aby się zajmować taką marnością, jak moja książka, co do żelaznej konsekwencyi nazywania jej „dziełkiem," to ta nadętość wysokiego urzędnika od geografii jest prawdziwie humorystyczna. „Komu nie tajne" są dzieła Darwina (mówiąc napuszonym stylem p. C.), ten zrozumie tę taktykę: każdy osobnik stara się w walce o byt wywrzeć grozę na przeciwnika środkami sztucznymi: podnosi się na palcach, aby się wydawać wyższym, najeża się, puszy dla wydania grubszym itp., a środków tych używa tem częściej, im mniej się czuje na siłach.

Kończąc moją odpowiedź, muszę zaznaczyć z ubolewaniem, że jak ta, tak i żadna z licznych korsarsko-literackich wypraw na mnie nie udała się i inaczej być nie mogło, albowiem recenzenci moi sądzili, że rzuciwszy na szalę krytyki drewniany miecz Brennusa w postaci tytułu i urzędowego stanowiska, uwolnią się zupełnie od obowiązków wiedzy, logiki oraz sumienia.

Wacław Nałkowski.

PRASA RUSKA.

Warsz. Dniewnik pisze:

„W Petersburgu zajmuje się obecnie oddzielna komisya przejrzeniem taryf w komunikacyi miejscowej na liniach kolejowych naszego kraju. Taryfy, zaprowadzone w ostatnich czasach na drogach tutejszych, okazały się niezupełnie od-

powiedniemi w zastosowaniu do warunków miejscowych z tego szczególnie względu, że niektóre były zbyt wysokie. Skutkiem tego pewne towary na niektórych dystansach praktyczniej było przewozić końmi, niż koleją. Już przed dwoma laty rząd zwrócił uwagę na tę okoliczność, gdy celem zbadania na miejscu przyczyn zmniejszenia się ruchu towarowego na drogach tutejszych wydelegowano do Królestwa Polskiego urzędnika departamentu spraw kolejowych, ks. Meszczerskiego. Komisya, zajęta obecnie rewizyą taryf w komunikacyi miejscowej na kolejach tutejszych, uwzględniła dane, zebrane przez ks. Meszczerskiego.

Projektowane ze strony komisyi zmiany taryf nie stosują się wszakże do ziarna, żelaza, węgli kamiennych i pewnych innych towarów, dla których ustanowiono specyalne taryfy, obowiązujące na całej sieci kolei ruskich. Sfery tutejsze atoli, zainteresowane w tej sprawie, starają się o zmianę istniejących obecnie specyalnych taryf zbożowych. W tych dniach odbyło się posiedzenie warsz. oddz. Tow. pop. rusk przem. i handlu, na którem wykazano, że dzięki obecnym taryfom różniczkowym od przewozu zboża, 40% transportów, przybywających na rynek tutejszy, pochodzi z punktów, znajdujących się w dalszej, niż 1,000 wiorst odległości od Warszawy. Wobec tego, że w kraju naszym produkcya ziarna jest droższa, niż w miejscowościach, które dostarczają przeważnie ziarna na rynek warszawski, zboże tutejsze nie może wytrzymać konkurencyi z zamiejscowem, jako znacznie tańszem. Tak rozumowali członkowie tutejszego oddziału Tow. pop. rusk. przem. i handlu i na zasadzie wywodów tych przyszli do wniosku, że niezbędną jest rzeczą podniesienie taryfy od przewozu ziarna do kraju tutejszego z gubernij centralnych i wschodnich; dalsze utrzymanie istniejących taryf, według ich opinii, oddziała zgubnie na rolnictwo miejscowe.

Czy jednak członkowie warsz. oddziału Tow. pop. rusk. przem. i handlu nie przesadzają wpływu taryf na ceny zboża w kraju tutejszym? Niepodobna wręcz oceniać tego wpływu na ceny ustalone tu w r. b., albowiem zniżka cen zboża, posiadająca w r. b. charakter chwilowy, ma przedewszystkiem swe źródło w ustaniu odpływu zboża tutejszego do Niemiec oraz w tej okoliczności, że nowe drogi zbytu nie są jeszcze utorowane. Nie wypada zapominać o tem, że tutejsze wyroby przemysłowe i rzemieślnicze znajdują szeroki zbyt w tych właśnie guberniach, z których od kilku lat rozpoczął się dowóz zboża na rynek tutejszy, dzięki taryfom różniczkowym, które odgrywają tem samem rolę regulatora wymiany produktów między poszczególnymi okręgami. Bez tego regulatora naruszona by była równowaga rzeczonej wymiany."

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Ruch emigracyjny do Prus daje się spostrzegać w pogranicznych wioskach gub. piotrkowskiej tudzież w okolicach Noworadomska, od wiosny do chwili obecnej. Według *Tygodnia*, bodźcem do wychodźctwa jest ta okoliczność, iż ci, którzy wyszli na wiosnę, powrócili obecnie z oszczędnościami, dochodzącemi do 100 rs. Pierwsi robotnicy powrócili po to tylko, aby pociągnąć za sobą licznìejsze siły. Jawnie atoli podobno nie chcą zdradzać źródła swych dochodów; mówią, że pracą chlebodajną jest tam kopanie rowów i sypanie wałów. Ruch ten jest nie na rękę dla rolników miejscowych.

— Przyszła reforma paszportowa streszcza się głównie w dwóch punktach: paszporty będą wydawane na lat 10, każdy zaś obywatel będzie miał prawo zamieszkiwać bez tego dokumentu w obrębie 30 wiorst od miejsca stałego zamieszkania.

— Pewna liczba członków warsz. oddziału Towarzystwa racyonalnego polowania zarzuca obecnemu kierunkowi zbyteczny nacisk na rozwój życia klubowego kosztem pożyteczniejszych celów. Uczestnicy prowincyonalni twierdzą, że instytucya za mało się stara o właściwe podniesienie zwierzostanu krajowego, czego najwymowniejszym dowodem jest niedostateczna dbałość o zwiększenie miejsc ochronnych, sprzyjających swobodnemu rozrostowi zwierzyny. Budżet oddziału, pomimo spłaty ciężarów dawniejszych i dość znacznych wpływów, nie przedstawia się korzystnie. Podobno zbyt dużo pochłania administracya wewnętrzna i zewnętrzna, hodowla psów i inne rubryki mniej produkcyjne. Zdaniem wielu, hodowla psów nie jest prowadzona umiejętnie i nie przynosi względnie do nakładu odpowiedniej korzyści. Powyższym powodom przypisują zmniejszenie się liczby członków i — zaległości w składkach. Trudno przypuścić, ażeby wszystkie zarzuty były słuszne, a już wprost jest bezpodstawne twierdzenie, że ogłoszony konkurs na napisanie kilku monografii zwierząt i ptactwa dzikiego, jest zbytecznym, oznaczone zaś nagrody za wysokie. Na przyszłem zebraniu powyższe sprawy mają być szczegółowo roztrząsane.

— Sprawa dozoru nad dziećmi, poruszona przez *Gazetę radomską*, coraz więcej ma szans zastosowania w życiu praktycznem. Na najbliższych zebraniach gminnych będzie uchwalony fundusz odpowiedni dla utrzymywania ochroniarki w każdej wsi (w ludniejszych — po dwie). Fundusz ten powstanie z oddzielnego podatku gminnego, który obowiązywać będzie wszystkich mieszkańców osiadłych, nie wyłączając nawet bezrolnych.

— Dnia 18 b. m. otwarto w Warszawie (Aleje Jerozolimskie 21) nową czytelnię dzieł i pism naukowych.

Szkoły. Katedry teoryi ogrodnictwa będą utworzone przy uniwersytecie warszawskim i Instytucie rolniczo-leśnym w Nowej-Aleksandryi. W tym ostatnim tylko dla studentów poświęcających się agronomii.

— W Petersburgu utworzono specyalną komisyę dla spraw wykształcenia technicznego.

— W „Musée d'histoire naturelle" (Paryż) powstała nowa katedra fizyologii doświadczalnej.

— Prof. Gognetti otwiera w Turynie przy pomocy rządu obserwatoryum ekonomiczne (przy tamtejszym uniwersytecie) dla spraw ekonomicznych i monetarnych.

Sprawy kolejowe. Ministerya: komunikacyi i skarbu uznały, że istniejące porządki na kolejach w zakresie kas emerytalnych są powodem najrozmaitszych nieporozumień i dają sposobność do nadużyć. Wobec tego, na wszystkich drogach żelaznych, zarówno rządowych, jak prywatnych, powstaną kasy według nowego typu, pod ścisłą kontrolą ministeryów skarbu i komunikacyi (*Now. wr.*).

— Z początkiem r. p. wprowadzona będzie na kolejach sprzedaż osobom prywatnym miesięcznych biletów pasażerskich, służących na całą linię, ze znacznem ustępstwem w cenie. Dla młodzieży szkolnej, niezależnie od ustępstwa powyższego, stosowana będzie do biletów III kl. taryfa ulgowa, wynosząca połowę normalnej.

— Ministeryum komunikacyi zwróciło się do towarzystw kolejowych z wnioskiem utworzenia na kolejach kas wzajemnej pomocy dla pracowników na wypadek choroby lub śmierci, tudzież w kwestyi urządzenia nowych domów przytułkowych dla tych, którzy stracili zdrowie i zdolność do pracy służbowej.

— Na XIII-m zjeździe przedstawicieli kolejowych w Petersburgu 7 listopada poruszone będą pomiędzy innemi następujące sprawy: 1) reformy taryf pasażerskich, 2) uregulowania wysokości opłat przewozowych na kolejach skarbowych i prywatnych, 3) ulgowego przewozu emigrantów, udających się do Ameryki południowej przy współudziale komitetu barona Hirscha, 4) opracowania taryf od przewozu spirytusu za granicę.

Komunikacye. Otwarto połączenie telefoniczne pomiędzy Mikołajowem a Odesą. Stacye urządzono w kantorach telegraficznych. Za pięć minut rozmowy rs. 1, za wezwanie kogokolwiek na stacyę w drugiem mieście — 25 kop.

Konkursy. Izba syndykalna buchhalterów w lugduńskich zaprosiła p. Konstantego Sękowskiego, uczestnika w turnieju konkursowym, na członka honorowego komisyi dla dzieł konkursowych w języku polskim tudzież na członka-korespondenta Izby powyższej na Królestwo Polskie. Dzieła z zakresu buchhalteryi w rękopisach lub drukowane, będą przyjmowane tylko do 31 marca 1894 r. Nagrody: medale i dyplomy. Wpisowe 5 fr. od każdego dzieła.

— Na konkursie urządzonym przez miasto Ventimiglia (pogranicze Włoch i Francyi) na projekt nowego parku miejskiego, drugą nagrodę (800 lirów) otrzymał p. Stanisław Zbrożek, warszawianin. Pierwszej nikomu nie przyznano.

— Redakcya *Przyjaciela dzieci* ogłosiła konkurs na powieść w duchu bogobojnym. Nagroda 150 rs.

Zdrowie publiczne. Według wiadomości urzędowych, epidemia cholery zupełnie wygasła w gub. lubelskiej do 28 października. W Warszawie jeszcze się zdarzają pojedyncze wypadki.

Dobroczynność publiczna. W r. b. korzystało z łódzkich kolonii letnich ogółem 150 dzieci. Chrześciańskie miały siedziby w Zlewanicach pod Głownem i we wsi Wygoda Mikołajewska pod Lutomierskiem. Dzieci żydowskie — w Krzyżówce pod Andrzejowem.

Literatura i sztuka. Gubernator warszawski wydał cyrkularz do wszystkich naczelników powiatów, aby przy udzielaniu pozwoleń na przedstawienia sceniczne uwzględniali sztuki, mieszczące się w wykazie alfabetycznym zarządu prasy, jako dozwolone bez żadnych ograniczeń. Pozwolenie powinno nastąpić bez uprzedniego cenzorowania takiego utworu.

— Dramat D. Zglińskiego p. t. „Jakób Warka", który otrzymał pierwsze zaszczytne odznaczenie na konkursie *Kuryera warsz.* — wystawiono na scenie warszawskiej. Ponieważ o sztuce tej pisał obszerniej nasz korespondent, gdy była wystawiona w Krakowie, poprzestajemy więc tylko na zaznaczeniu, że artyści tutejsi nadzwyczaj starannie wykonali swoje role.

Bibliografia. Baronowa Staffe, *Piękność i zdrowie*, praktyczne rady, wskazówki i przepisy dla kobiet. str. 273, Warszawa, Gebethner i Wolff.

— Brehm W. Lakonitz. *Królestwo zwierząt*, zesz. III.

— Cz. Jankowski. *Po Europie*, kartki z podróży (z ilustracyami), str. 346, Warsz. Gebethner i Wolff.

— A. Sattler, *Fizyka* popularnie ułożona, tłom. W. Kozłowski, str. 165, Warszawa, Gebethner i Wolff.

— W. Kosiakiewicz, *Władek*, powieść, str. 283. Warsz. Gebethner i Wolff.

— H. Sienkiewicz, *Pisma* tom XX, str. 212, Warsz. Gebethner i Wolff.

— B. Wilczyński, *Historya muzyki* w krótkim zarysie. str. 274, Warsz. Gebethner i Wolff.

— A. Krzyżanowski, *Mimoza*, powieść, str. 221, Warsz. Paprocki.

— A. Jawornicki, *Synowie Kaina*, powieść, str. 392, Wars., Paprocki.

Odpowiedzi Redakcyi.

Pani A. N. w Kijowie. Najważniejszem dotąd dziełem jest E. Barnouf *Introduction à l'histoire du Buddhism indien*, Paryż 1844. Prócz tego polecić należy: tegoż *Le Lotus de la bonne foi*, Paryż 1852. Bardzo dobrym i treściwym wykładem buddyzmu jest Barthélemy St. Hilaire *Le Bouddha et la religion*, Paryż, 1-sze wyd. 1860. Z nowszych prac: Génart *Essai sur la légende de Bouddha*, Paryż 1875. Ogólny zarys buddyzmu podają: Barth *Les religions de l'Inde*, Paryż 1879 i Le Bon *Les civilisations de l'Inde*, Paryż 1887. Z przekładów dzieł indyjskich i chińskich, jako źródła do poznania buddyzmu: *Lalita Vistara*, przekład E. Foucaux, Paryż 1848. Stan. Julien *Histoire de la vie de Hiouen-Tsang*, 2 tomy, Paryż 1856—58. Tegoż *Mémoires sur les contrées occidentales*, Paryż 1857 (podróż chińczyka buddysty po Indyach). Piśmiennictwo niemieckie posiada obfitość prac o buddyzmie. Z rzeczy polskich: Straszewski *Powstanie i rozwój pesymizmu w Indyach*. Kraków 1885 i artykuł w *Encyklopedyi* ilustrowanej, zeszyt 75, 1893, przez S. Krzemińskiego; Budda i Buddyzm.

I. G. w D. Prosimy o przysłanie adresu dla odpowiedzi listownej.

Panu R. w Płocku. Pomimo wysokich zalet nieboszczyka nie możemy zrobić wyjątku, gdyż nekrologów w tekście pisma nie zamieszczamy, a szczupłe jego ramy zaledwie nam starczą dla ludzi zajmujących wydatniejsze stanowiska publiczne.

Przed kilku tygodniami umarł młody lekarz ś. p. **Kazimierz Kozłowski**. Rozpoczął studya lekarskie w Kijowie, skończył je w Kazaniu. Podniesienie medycyny ludowej, uprzystępnienie jej dla najuboższych i racyonalna organizacya lecznictwa po wsiach stanowiły główną myśl jego życia. Praktykując przez kilkanaście miesięcy w Drobinie (gub. płockiej), próbował wlać nieco życia w uśpione Towarzystwo lekarskie w Płocku i wciągnąć do niego lekarzy prowincyonalnych. Owocem tych usiłowań było zebranie, na którem oprócz inicyatora znalazł się tylko jeden lekarz niemiejski. Tu nieboszczyk odczytał swój referat „O organizacyi medycyny wiejskiej,“ oparty na licznych materyałach statystycznych, zebranych przez ziemstwa, po części zaś na własnem doświadczeniu. Następnie wyjechał do Petersburga dla dalszych studyów. Wysłany dla tłumienia cholery w osadach baszkirskich gub. orenburskiej, a następnie do Krymu, pozyskał tam wielkie uznanie i wezwany został do Petersburga na kongres lekarski w przedmiocie cholery. Ostatniego lata powołany przez ziemstwo czernihowskie, przerzucany z miejsca na miejsce, zmęczony i wyczerpany pracą, dokonał życia w miasteczku Borznie, skąd już miał wrócić na stałe do kraju. Miał lat 31. Niech wspomnienie tych, którzy go znali i ocenili, spocznie przez chwilę na tej dalekiej mogile. Nie sądzone mu było spełnić wszystkiego, co zapowiadały jego zdolności i poświęcenie się idei niesienia pomocy cierpiącym. Należał on do tych rzadkich ludzi, którzy nie dla siebie tylko żyją, którzy szeroko pojmują zadania inteligencyi, którzy coś dorzucają do duchowej skarbnicy ludzkości, a przykład jego mógłby przyświecać niejednemu z młodszych kolegów. Może te kilka słów wspomnienia, które mu się słusznie należą, nie przejdą i dla nich bez śladu.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 12 Ноября 1893 г. Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.